Numer poświęcony sprawom akademickim

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 10 zł

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV — Łódź, 2 listopada 1947 r. — Nr 42 (121)

Wiesław Jaździński

GAUDEAMUS

(O tradycjach wychowawczych w gimnazjach i uniwersytetach)

Niedawno odbyły się w miastach uniwersyteckich uroczystości otwarcia nowego roku akademickiego.

Z przemówień I. M. Rektorów i przedstawicieli rządu można wnosić, że problem społecznej postawy polskiego akademika jest nadal otwarty, choć mija już trzeci rok od chwili odzyskania niepodległości.

Płyną więc lata a nasze średnie i wyższe uczelnie produkują nadal typ młodzieży — odwrócony od zagadnień społecznych, często wrogi wobec zaszłych w rezultacie wojny przemian w społeczno - gospodarczej strukturze kraju.

Kiedy dziś — dla usunięcia zła — dyskutuje się bezmała trzy lata nad problemem nowej organizacji kultury, pojętej jako funkcji zmienionego ustroju społecznego i gospodarczego państwa i przeprowadza się w związku z tym reorganizację szkolnictwa wszystkich stopni w kierunku nadania mu uspołeczniającego charakteru oddziaływania na młodzież — warto przypomnieć, po pierwsze: tradycje wychowawcze gimnazjów ogólnokształcących, po drugie: te same tradycje obowiązujące na przedwojennych wyższych uczelniach, nie bardzo chyba mimo prowadzonych dyskusji zmienione, skoro problem społecznej postawy młodzieży akademickiej jest jeszcze nadal otwarty.

W GIMNAZJUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCYM

W ostatnich latach przed wybuchem wojny dokonał dr M. Falski analizy społecznego pochodzenia młodzieży uczęszczającej do szkół niższego, średniego i wyższego stopnia. Sporządzona tabelka („Kultura i Wychowanie" Nr 5, 1938 r.) wykazuje, że na każdych 100 uczniów rozpoczynających naukę docierało do I klasy gimnazjum nowego typu uczniów:

A. Warstwy zamożne i wykształcone	63,0	uczniów
W tym więksi przedsiębiorcy w przemyśle i handlu	62,8	„
wolne zawody	86,1	„
urzędnicy publiczni	67,8	„
B. Mniejsi przedsiębiorcy	11,1	„
C. Rolnicy od 5 do 50 ha	3,1	„
D. Rolnicy do 5 ha	1,0	„
E. Niżsi funkcjonariusze	22,2	„
F. Robotnicy fabryczni i służba domowa	2,9	„
G. Robotnicy rolni	0,6	„

Najliczniejsze klasy społeczne, jak to z tabeli wynika — chłopi i robotnicy, stanowiący ponad 70 proc. narodu nie miały nawet 8 proc. swojej młodzieży w gimnacjach przedwojennych. „Indywidualne zainteresowania i charaktery poszczególnych jednostek nie odgrywają na terenie szkolnictwa bardziej istotnej roli. Ruch ten sprowadza się zasadniczo do selekcji społecznej uwarunkowanej organizacją naszego szkolnictwa i całym układem stosunków społeczno-gospodarczych" — pisze M. Falski.

Dla chłopskiej i robotniczej młodzieży pozostawało niższe szkolnictwo zawodowe i nieliczne kursy fachowe, rzadko kiedy średnia szkoła techniczna czy przemysłowa.

Jakże wyglądał stosunek szkół średnich do zawodowych przed wojną?

W latach 1938—39 mieliśmy 789 gimnazjów ogólnokształcących z 234,200 młodzieży, podczas gdy kursów i szkół zawodowych niższego oraz średniego stopnia było razem 717 z 90,800 młodzieży.

Tak więc młodzież pochodząca ze „sfer" ziemiańskich, fabrykantów, wyższych urzędników publicznych i tzw. wolnych zawodów stanowiła większość nawet w średnich szkołach zawodowych, przede wszystkim jednak wypełniała prawie całkowicie gimnazja ogólnokształcące, gdzie panowała określona atmosfera wychowawcza. Oto jej elementy:

a. „Polska mocarstwowa"

„Szczęśliwy jest los poetów dzisiejszego dnia — pisał Stefan Żeromski („Elegie"). — W ich oczach Polska — sen kości rozsianych po okręgu ziemi — niezwyciężonym mocarstwem się staje... Koń jeźdźca narodowego zgrzany od zwycięstwa nad Moskwą, w Niemnie i Wilii wodę pije".

Wypada tu powtórzyć pewną legendę. Polskę powstałą po pierwszej wojnie światowej wskrzesił odwieczny duch narodu, ten sam, który zwyciężał pod Obertynem, Pskowem, Chocimiem i Beresteczkiem. Po 100-letniej przerwie podejmuje naród na nowo tę samą misję dziejową przedmurza kultury rzymskiej i ma ją nieść na wschód Europy. Nie udała się wprawdzie próba zagarnięcia całej Ukrainy, przy pomocy Petlury i nie odkwitły ziemiańskie folwarki na pszennej ziemi. Ale p. Dunin-Kozicka w zakończeniu książki o dziejach ziemiaństwa polskiego na Ukrainie podczas rewolucji bolszewickiej — powie: my tam wrócimy!

W sytuacji międzynarodowej głosili hetmani Polski mocarstwowej hasła całkowitej samodzielności politycznej, szczególnie wobec dwu wrogów: Związku Radzieckiego i Niemiec.

Samodzielność gwarantowała silna armia, gotowa natychmiast odeprzeć wroga. Opierała się ona o piechotę — „królowę broni" i kawalerię, której tradycje wyprowadzało się z husarii króla Jana, broniącej Europy rzymskiej przed zalewem barbarzyństwa.

Ta część oficjalnie głoszonych haseł „Polski mocarstwowej", oddziałała na młodzież gimnazjalną w pożądanym kierunku. Twórcy legionowej legendy zostali zaakceptowani.

„Wy stać będziecie na wyniesieniu wiecznie. Wstąpiliście na ołtarz — przez Naród cały czczeni... Zostanie po wszelkie czasy żywy i mocen rozkazywać głos Wodza, który Was wiódł do Czynu a nad nami hetmańską wciąż króluje buławą"... („Młodzi Idą" — Kielce, 1938 r.).

Postacie obu Marszałków II-ej Rzeczypospolitej stały się wzorami cnót osobistych i „obywatelskich" — jak to się wtedy mówiło,— na których kształtować się miała społeczna postawa młodzieży. Konkursy na „najlepiej pojęte" życiorysy obu Wodzów urządzały szkolne pisma b. często („Młody Nurt", Warszawa, 1. IV. 1939), nagradzane przez ministerstwo oświaty.

Młodzież wierzyła w potęgę militarną przedwojennej Polski, opartej o piechotę i kawalerię.

„Rozwój broni silnikowych, mających jako ochronę mocny pancerz stalowy, miał się stać, według fałszywego proroctwa niektórych doktrynerów i zaślepieńców zagranicznych, grobem piechoty. Na szczęście dla piechoty poglądy takie były nieliczne i trwały dość krótko... Tam, gdzie zawodzą takie czy inne maszyny, gdzie stają bezsilne motory, piechur idzie, piechur walczy". („Młody Nurt"—1938).

Młodzież akceptowała także entuzjastyczne posunięcia polityczne swoich przedwojennych wodzów.

Kiedy 2. X. 1938 zajmowali polscy ułani Zaolzie, specjalny wysłannik „Młodego Nurtu" patrzył z pogardliwym współczuciem na rozpaczliwe słowo afisza — „Vytrveite!", które pisał padający naród słowiański.

Korespondent czołowego pisma polskiej młodzieży gimnazjalnej napisze: „teraźniejsze rzeczywistość dokonywaliśmy czynem mniej materialnym a więcej tym, którego zarodki tkwią w najgłębszych tajnikach duszy. Zwyciężyła prawda!"

Tak więc wyglądała prawda w „Polsce mocarstwowej", tkwiąca w najgłębszych tajnikach duszy młodzieży.

Warto spytać jaki to ustrój gospodarczo - społeczny odnowił legendę Polski — przedmurza chrześcijaństwa, nadał jej pozory siły militarnej i opromienił sukcesami na bratnim narodzie słowiańskim?

Był to ustrój liberalno - kapitalistyczny, oparty w końcu 1938 roku o 171 karteli krajowych i 100 międzynarodowych; w ustroju tym ścierało się w „wolnej konkurencji" 1066 spółek akcyjnych, obejmujących wszystkie gałęzie produkcji przemysłowej i wymiany. Liczba nowo założonych spółek wzrosła z 17-tu w 1937 r. na 57 w następnym.

Mit silnej Polski pojawił się w ostatniej imperialistycznej fazie kapitalizmu, jako forma odwrócenia uwagi młodzieży od problemów społeczno - gospodarczych. Gdyby wychowankowie gimnazjów ogólnokształcących umieli czytać dobrze w Roczniku Statystycznym, dowiedzieliby się zapewne, że w roku 1937 wybuchło w Polsce 2090 strajków. Dowiedzieliby się również, że 603,400 bezrobotnych z samego tylko przemysłu wołało w „Polsce mocarstwowej" o chleb.

Wołania bezrobotnych o pracę i chleb nie dało się oczywiście zagłuszyć. Trudno było również ukryć fakt, że w latach 1927—37 ponad 500,000 chłopów - wyrobników szło rok rocznie na emigrację sezonową do robót rolnych na „sachsy i brandenbury", a drugie pół miliona chłopów opuściło w tym czasie nasz kraj, emigrując na stałe.

Mit „Polski mocarstwowej" jako czynnik wychowawczy, podtrzymujący liberalno - kapitalistyczny ustrój nie mógł całkowicie odsunąć młodzieży od pojawiających się raz po raz kryzysów. W pomoc szły dalsze elementy systemu wychowawczego.

b. „powiedzia Menandros"

„Humanizm przeciwstawia się innym typom wychowania — pisał prof. Ryszard Ganszyniec, redaktor „Filomaty" — one są utylitarne — humanizm irracjonalny; one uprawiają niższą, przyziemną część człowieka — humanizm zaś wzloty geniuszu, tamte walczą z konkurentami ze świata zwierzęcego— humanizmu zaś domeną jest sublimowane człowieczeństwo... Utylitaryzm i służąca mu szkoła z wychowaniem zawodowym mają na oku tylko fizyczny dobrobyt człowieka, nie wznoszą go poza system linneuszowy, w którym homo sapiens ma miejsce obok małpy... Do świetlanych szczytów, w sfery idealne wprowadzają człowieka tylko i wyłącznie studia humaniora... szkoła humanistyczna... działa nie tylko na intelekt, lecz obejmuje całe życie psychiczne człowieka, całą gamę jego uczuć, począwszy od płomiennego entuzjazmu, gotowego do wszystkich poświęceń aż do subtelnego kultu człowieczeństwa... Naprawdę wielką jest rzeczą być humanistą i szczęśliwy ten naród, którego szkolnictwo daje możność dostąpienia tego zaszczytu. Powiedział Menandros: jakim klejnotem jest człowiek, gdy człowiekiem jest!" („Filomata" L. 105, 1938").

Zalecany przez „Filomatę" wzór wychowawczy przyjął się powszechnie w gimnazjach ogólno - kształcących. W izolacji od utylitaryzmu „mającego na oku tylko fizyczny dobrobyt człowieka", szukała młodzież największego klejnotu — człowieka.

„W górę serca! w pełnię życia, kroczmy naprzód Filomaci, a zmysł piękna, miłość prawdy, niech pojedna nas jak braci" — pisał uczestnik konkursu na jeszcze jedną pieśń Filomatów.

Ponieważ humanistyczny system wychowawczy **usuwał strukturę społeczno - gospodarczą z pola widzenia młodzieży**, wydawało się Filomatom XX wieku, czasów imperialnej fazy kapitalizmu, na krótko przed wielką wojną o polityczne, społeczne i gospodarcze dzieje narodów Europy, że **problem nędzy i zła leży w jednostce.** Stąd też personalistyczna postawa wobec oglądanej nieraz rozpaczliwej sytuacji proletariatu.

Problem „Ludzi bezdomnych" przeżywała młodzież jako osobiste i moralne zagadnienie, przyczym nie ważne było postawienie tego problemu na tle dziejów społeczno-gospodarczych, dla ustalenia konieczności i kierunku zmiany istniejącego układu stosunków. Ważne natomiast stało się **natężenie postawy uczuciowej jednostki wobec widzianej nędzy.**

Taka personalistyczna postawa młodzieży wobec życia musiała się pojawić, skoro wmówiono w nią, że szczęśliwy ustrój państwa jest funkcją rozwoju sił duchowych dobra i szlachetności — jednostki.

Do zajęcia takiej właśnie postawy wzywał również min. oświaty Wojciech Świętosławski w mowie radiowej, wygłoszonej do młodzieży we wrześniu 1938 roku.

Oto co mówił minister: „Szkoła nauczy was przede wszystkim doznawać nowych nieznanych wam dotychczas radości, płynących z przeżyć duchowych... Usiłujcie wytrwale stawać się coraz to lepszymi, a raz obrawszy drogę doskonalenia swego ducha nie ustawajcie w tej pracy przez dalsze życie"...

Społeczny sens tego podniosłego, moralistycznego przemówienia nie jest inny niż wszystkich innych, cytowanych tu wypowiedzi. Pomijając świadomość społeczną autorów tych wypowiedzi, stwierdzić trzeba, że wszystkie zakłady one, iż u podstaw wszelkiej pomyślności narodu leży nie zmiana jego struktury gospodarczej, ale człowiek i jego wyposażenie w cnoty wieczne, dobra, szlachetności charakteru i silnej woli, stojące ponad, a właściwie poza strukturą społeczną.

Takie podstawy wychowawcze młodzież przyjęła. „Te słowa wielką dla was mają wymowę — pisała redakcja „Młodzi Idą" bezpośrednio po mowie min. Świętosławskiego— są jakby drogowskazem, według którego skierujemy i skoordynujemy nasze wysiłki. „Stajemy z ochotą do nauki i pracy społecznej pod hasłem odpowiedzialności indywidualnej... Każdy z nas odpowiada w pełni za swe czyny i słowa".

Tak więc, światem zainteresowań młodzieży szkół ogólnokształcących stały się nie dzieje chłopów, robotników, czy kapitalistów, ale zagadnienia rozwoju wewnętrznego uczuć i woli. Ten zwrot ku doskonaleniu indywidualnemu jako podstawy działania społecznego umacniał jeszcze jeden element systemu wychowawczego.

c. Każdy za siebie — Bóg za wszystkich!

„Podstawowym czynnikiem wychowawczym, którego wpływ powinien zaważyć na całym waszym życiu jest dawane wam w szkole i w domu wychowanie religijne" — mówił do młodzieży min. Świętosławski.

Zatym wychowanie religijne, podniesione w gimnazjach ogólnokształcących do naczelnej rangi, uzupełniało „komplet serca" młodzieży. Opierało się ono o przymus chodzenia do kościoła, lekcje religii i prace nad samokształceniem się w kołach sodalicji.

Czego można było dowiedzieć się z niedzielnych kazań prefektów?

Cytujemy tym razem ks. pref. Czerwińskiego, który uczył religii Stefana Żeromskiego: „Droga mi inteligencjo, moi mili uczniowie: uczeni i literaci, pisarze i artyści, pedagodzy i sędziowie, urzędnicy i przemysłowcy, a tymbardziej różni dygnitarze! Religijnie i cnotliwie żyjcie w związkach małżeńskich, szanujcie ich świętość i nierozerwalność dla szczęścia rodzin waszych i dobra miłej ojczyzny, poświęcajcie się dla ojczyzny, a nie wyzyskujcie jej ani obdzierajcie finansowo przy każdej sposobności!... Budujcie w życiu rodzinnym i podnoście lud, który patrzy na was, i o tyle trzyma z wami i ceni was, o ile wy trzymacie z Bogiem i jego świętym rzymsko-katolickim kościołem" (1926).

Mamy tu do czynienia z dyskretnym wykładem z dziedziny polityki społecznej. Chodzi w nim znowu nie o co innego jak tylko o utrzymanie istniejącego układu społecznego w stosunkach „różnych dygnitarzy" i „przemysłowców" z bezimienną 70%-ową masą narodu nazwaną ogólnie ludem. Układ miało podtrzymywać poczucie wspólnoty religijnej, oparte o prymat kościoła.

Jeżeli znalazł się ktoś pośród młodzieży, kto rozwiązanie problemów społecznych stawiał na gruncie przemian struktury ustroju, radykalizm taki bywał usuwany na lekcjach religii. Przyznała to sama młodzież, żegnając na krótko przed wojną następcę prefekta Żeromskiego.

„Był wielkim powiernikiem naszych przeżyć i poglądów na życie, z pogodnym uśmiechem prostował radykalne sądy młodych zapaleńców... Wpajał w nas miłość chrześcijańską, wysoką moralność". („Młodzi Idą", 1938)

Taką samą wysoką moralność wpajały w młodzież sodalicje. Kim miał być gimnazjalista - sodalis? Odpowie nam kronikarz Mariański: „Sodalis to nie tylko przyszły ksiądz — Sodalis, to każdy Polak - katolik, rozumiejący cel swego życia, ceniący swe tradycji narodowe, stający w obronie tego, co wzniosłe, co doskonałe" („Młodzi Idą", luty 1939). Na jakiej drodze dochodził sodalis do miłości chrześcijańskiej? „Sodalisi byli bezwzględni dla siebie. Świadczą o tym kary pieniężne wyznaczane za nieobecność na zebraniu, udzielanie napomnień, wreszcie, jeśli tego wymagała potrzeba, skreślenia z listy Sodalisów i odebranie dyplomów" — odpowie Mariański kronikarz.

Wyposażony nie w wiedzę o istotnym stanie społecznym i gospodarczym kraju, ale z orężem zapału i wiary we własne siły stawał sodalis do walki o własną doskonałość w przekonaniu, że suma doskonałych jednostek równoznaczna jest ze szczęściem narodu. Utrzymując z jednej strony „przemysłowców i dygnitarzy", z drugiej strony masy ludu, złączone religijną wspólnotą w naród — miał spełnić Sodalis Chrystusowe posłannictwo.

Tak to wyglądało przygotowanie młodzieży do przyszłych zadań w kraju „skazanym na wielkość", gdzie znikomy odsetek rentierów posyłał ten sam procent swojej młodzieży do gimnazjów ogólnokształcących, co i masa chłopska stanowiąca blisko 70 proc. narodu.

Czołgi niemieckie, te same które przejechały błyskawicznie Austrię i powaliły przy na-

szej pomocy Czechy, rozbiły w kilkanaście dni „Polskę mocarstwową". Królowa broni— piechota i wsławiona w bojach, niezwyciężona kawaleria poszły w rozsypkę. Związek Radziecki okazał się sojusznikiem, a szczęście cierpiącego w ojczyźnie człowieka rozwiązuje się właśnie nie drogą kształcenia wiecznych cnót człowieka, ale przez zniesienie liberalno - kapitalistycznej struktury państwa, którą usiłował utrzymać daremnie przedwojenny system wychowawczy.

Ukształtowana poza społeczno - gospodarczymi dziejami pozostała młodzież w znacznej części na marginesie naszej rzeczywistości i przestępując dziś próg wyższej uczelni, wraca do tej rzeczywistości z trudem.

NA PRZEDWOJENNYCH UNIWERSYTETACH

Cytowana już częściowo tabela, sporządzona przez dra M. Falskiego pokazuje dalej, że na każde 100 uczniów, zaczynających naukę wstępowało na pierwszy rok studiów akademickich:

A. Warstwy zamożne i wykształcone	19,4	uczniów
w tym więksi przedsiębiorcy w przemyśle i handlu	21,9	„
wolne zawody	41,1	„
urzędnicy (publiczni)	18,6	„
B. Mniejsi przedsiębiorcy	1,8	„
C. Rolnicy do 50 ha	0,4	„
D. Rolnicy do 5 ha	0,2	„
F. Robotnicy fabryczni i służba domowa	0,4	„
G. Robotnicy rolni	0,1	„

Najliczniejsze klasy społeczne — chłopska i robotnicza, jak to pokazuje tabelka — były reprezentowane na wyższych uczelniach już tylko w 1 proc. Natomiast młodzież klas uprzywilejowanych stanowiła 96 proc. ogółu studiujących.

W roku akademickim 1936/37 mieliśmy 48,000 młodzieży na wyższych uczelniach.

Warto jeszcze przyjomnieć sobie, że poszczególne ważniejsze wydziały były następująco obsadzone:

Prawo i nauki polityczne	12,629	słuch.
Medycyna	3,872	„
Rolnictwo	2.463	„
Politechniki	7,459	„
Nauki handlowe	4.268	„

Tak więc prawie 50.000 młodzieży ze „sfery" ziemiańskiej, wielkich i średnich przedsiębiorców oraz wyższych urzędników publicznych wypełniało niemal całkowicie sale wykładowe i pracownie naszych przedwojennych wyższych uczelni.

I tu panowała określona atmosfera wychowawcza, oparta — jak to się i dziś jeszcze mówi — o „czystą naukę" ,albo „naukę jako taką". Atmosfery „czystości nauki" broniła autonomia szkół wyższych.

Jakież były elementy przedwojennego systemu wychowującego młodzież akademicką?

a. Dostojna „człowieka wiecznego" praca

Z okazji uroczystej immatrykulacji(jaka odbyła się w 1927 roku na uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, J. M. Rektor powiedział do młodzieży:

„Podpadacie pod iurysdykcję uniwersytetu, który władzę swą sprawuje mocą autorytetu moralnego. Stąd też civis academicus to godność niezwykle cenna, reguluje ją poczucie honoru stanu. Honor stanu akademickiego, oto sankcja, która winna podać wysoki diapazon waszemu życiu koleżeńskiemu i stosunkowi do władz akademickich... Pewna swoboda studiów zmierza tu właśnie do wytworzenia samoistnej kultury pracowitości, surowego rygoryzmu obowiązkowości, więc **do walorów moralnych, do wyrobienia zalet charakteru"...**

Duszpasterz akademicki powiedział z tej samej okazji:

„Praca naukowa jest waszym pierwszym obowiązkiem, bez niej można być wszystkim, czym chcecie — ale nie studentem. A druga praca — może jeszcze bardziej trudna i mozolna — to „wydobywanie z Przeszłości „płonącej gwiazdy", skupianie w sobie jak najwięcej „ziarna siewnego", jak najwięcej żywotności i siły, słowem — **uszlachetnianie swego człowieczeństwa**. Dostojna **„człowieka wiecznego" praca!"**

Przytoczone fragmenty przemówień wykazują, że uniwersytecka atmosfera wychowawcza stanowiła konsekwentne przedłużenie systemu wychowania w gimnazjach ogólnokształcących.

Chodziło znowu o „uszlachetnienie swego człowieczeństwa", do którego nawoływał redaktor „Filomaty" — prof. Ganszyniec. Ale kształtowanie człowieczeństwa na uniwersytecie było dla gimnazjalisty bardziej atrakcyjne, ponieważ opierało się o nowe, nieznane mu pojęcia „honoru stanu akademickiego" i „wysokiego diapazonu" życia koleżeńskiego. „Dostojna człowieka wiecznego parca", służąca jedynie kształceniu walorów moralnych jednostki, miała zapewnić nie tylko krajowi, ale i całemu światu szczęśliwe dzieje.

Takie podstawy wychowawcze, wcale nie inne niż obowiązujące w średnich szkołach ogólnokształcących, akceptowała młodzież akademicka z entuzjazmem.

W jakiż to sposób musiał doskonalić się polski akademik, aby zapewnić szczęśliwy byt każdemu człowiekowi w kapitalistycznej ojczyźnie, a nawet i innym mieszkańcom świata? Czy przez zmiany ustrojowe? Otóż nie — przed wojną zbawiało się ludzkość w sposób daleko prostszy niż dziś.

„Przede wszystkim sami się musimy otrząsnąć ze złych naleciałości i udoskonalić wewnętrznie" — powiedział przedstawiciel uniwersytetu Poznańskiego, na zjeździe jasnogórskim akademików, 24. V. 1936 — i?— „uczynić wielką wyprawę do głębi naszych serc po miłość twórczą i budującą. Musimy sprowadzić wielki cud odrodzenia, aby przez to drodzić najbliższe otoczenie, społeczeństwo, państwo, świat" — dokończył reprezentant uniwersytetu Jagiellońskiego.

W taki to sposób — idąc za wskazaniami swoich przełożonych, usiłowała młodzież akademicka załatwić problem nędzy i zła w świecie. Sposób ten, nie naruszając zupełnie społeczno - gospodarczej struktury kraju, był tylko pozornie niezawodny. Niedomogi klasowego ustroju kapitalistycznego pokazywały się coraz częściej.

W 1937 roku 566.000 robotników polskich urządziło 1093 strajków okupacyjnych. Równocześnie przez całą Europę i świat szła fala protestów świata pracy przeciw wyzyskowi: 591,000 robotników angielskich strajkowało 1129 razy tegoż roku, 1.861.000 amerykańskich — 4740 razy i 427,000 francuzów — 3680 razy (Rocznik Statystyczny — 1939 r.).

Ale i na takie, nie dające się przecież ukryć niedomagania kapitalizmu, zapowiadające możliwość walki klas, znalazła się w uniwersyteckim systemie wychowawczym odpowiedź, tłumiąca niepokoje, jakich musiała doznawać wrażliwa na ludzką nędzę młodzież.

b. „Za jasną zacność człowieka"

Z okazji otwarcia roku akademickiego 1927/28 na uniwersytecie Stefana Batorego przemawiał do młodzieży J. M. Rektor Almae Matris Vilnensis. Przyjmując za podstawę przemówienia, książkę prof. Zdziechowskiego pt. „Walka o duszę młodzieży" — mówił J. M. Rektor:

...„prof. Zdziechowski, jak nikt drugi w Polsce, bije na alarm, skrzyknąć chce naród do walki na duchy w obronie starej, na opoce katolicyzmu wzniesionej kultury, atakowanej ze wznowioną wściekłością przez bramy piekielne. Starym prawem: wskrzeszona Polska znów ma zająć przednie przyczółki i wypadowe szańce przedmurza chrześcijaństwa.

W awangardzie tego zbrojnego pogotowia duchowego, na obronę Boga przeciw rozpasanemu bożoczłowieczeństwu, za Chrystusa przeciw Antychrystowi, za spirytualizm przeciw materializmowi, za jasną zacność człowieka przeciwko jego bestializacji — iść winna młodzież, czynna współtwórczyni duchowych dóbr kultury narodowej, młodzież akademicka, młodzież naszego, jak bastion wysuniętego „Uniwersytetu Wileńskiego przede wszystkim".

Profesor-Rektor wierzył głęboko, że Polska zwycięży w tej walce na duchy, dzięki narastaniu — „miazgi kulturotwórczej".

...„ten nie słabnący wzrost miazgi kulturotwórczej — powiedział — zawdzięcza Polska potężnym rezerwom, jakie ma w głębszych warstwach masy narodowej, tej, która w tworzeniu wyższej kultury udziału dotąd nie miała. Lud w Polsce jest jak długo wyugorowana, uprawy i zasiewu żadna nowizna, kryje w sobie zadatki bogatej nad podziw plemienności, cały zasób nowego rozpędu twórczego...

„Straszą nas stąd i zowąd, że lud Polski, stanowiący do niedawna masę ciemną, nieruchawą, kryje w sobie zadatki złowrogie, że zanim ujawni w dziele zbiorowym swoją urodzajność twórczą, wpierw wybuchnie spod nawarstwień mściwej zawziętości jako moc niszczycielska. Innemi słowy, że niezadługo zagnie on gwałtownie bieg naszego życia kulturalnego, odrzuci i złamie budowlę przeszłości, wytwór szlachetczyzny, i na ruinach dopiero rozpocznie orkę pod nowe, nieznane jakieś żniwo. Tak nas straszą. Są to jednak istne strachy na Lachy. Niewątpliwie znaleźli by się u nas tacy, którym z jakichś tam względów dogadzała by taka perspektywa rozerwania i przewrotu, którzy też z tupetem wykrzykują podobne zapowiedzi. Ale wybryki te nie zmienią **przyrodzonego biegu naszej historii**. Bieg zaś przyrodzony idzie po linii nie rozerwania ale **organicznego zrostu polskiej gleby z podglebiem w jedną rolę narodu"**.

Przemówienie I. M. Rektora pozwala sądzić, że i na przedwojennych wyższych uczelniach odbywały się wykłady nie tylko w zakresie „czystej nauki", ale także i z dziedziny aktualnych zagadnień polityczno-społecznych.

O czymże traktuje przemówienie I. M. Rektora? Spróbujmy streścić:

Polska pełni „starym prawem" funkcję przedmurza chrześcijaństwa. Ma do tego zadania wszystkie warunki. I kulturę zbudowaną na opoce katolicyzmu i ustrój klasowy gwarantujący najliczniejszym w kraju chłopom zgodną z ich biologicznym bytem, „bogatą nad podziw", odrębność stanowo-plemienną. Rewolucji żadnej nie będzie, ponieważ zgodnie z przyrodzonym biegiem ludpodglebie będzie zasilał swoją miazgą kulturo-twórczą, podstawową dla narodowej kultury — glebę szlachecką. Glebę z podglebiem wiąże nierozerwalna wspólnota religijna.

Takiemu wyjaśnieniu struktury społecznej kraju przytaknęli nawet akademicy-chłopi.

„Wsie polskie słyną ze szczególnego przywiązania do religii — mówił przedstawiciel Cieszyna na Zjeździe w Częstochowie — mogą o tym świadczyć wspaniałe uroczystości i obrzędy, urządzane w każde święto... tak było od wieków i tak będzie, nic bowiem duszy ludu zmienić nie zdoła"...

Podczas gdy z Jasnej Góry mówiono o wiecznej duszy ludu, podtrzymując mit odrębności klasy chłopskiej, a co z tym idzie, kapitalistyczną strukturę kraju — jakże tragicznie przedstawiała się prawda!

W roku 1931 mieliśmy 700.000 zbędnej ludności wsi w gospodarkach do 15 ha, 170.000 najmitów folwarcznych szukało daremnie pracy, a 27,6 proc. chłopów nie umiało ani czytać, ani pisać. Jeszcze w roku szkolnym 1935-36 ilość szkół wiejskich

1	klasowych	wynosiła	52,1 proc.
2—3	„		36,0 proc.
4—6	„		8,7 proc.
7	„		4,2 proc.

Oto warunki wchodzenia podglebia chłopskiego w szlachecką glebę, w Polsce — przedmurzu chrześcijaństwa, opartej o miłość bliźniego!

Fakty te leżały jednak, zgodnie z tedencjami systemu wychowawczego, poza świadomością społeczną młodzieży akademickiej. Wiedziała ona natomiast, że u podstaw wszelkiej działalności społecznej stoi człowiek i jego wartość moralna a każdy problem społeczny o tyle ma szanse na rozwiązanie, o ile go rozwiąże w sobie człowiek szlachetny.

Był jeszcze jeden element wychowawczy, oddziaływujący najsilniej na młodzież akademicką w kierunku odwrócenia jej uwagi od narastającej problematyki społecznej kapitalizmu.

c. „Myśli nowoczesnego Polaka"

Wypada tu streścić jeszcze jedną legendę narodową, która opanowała znaczną część młodzieży akademickiej, szczególnie w ostatnich latach przed wybuchem II wojny światowej.

Polska powinna być krajem „jak najbardziej zachodnim, z silną przewagą ludności mającej pojęcia i instynkty zachodnie, przede wszystkim poczucie prawa i przywiązanie do praworządności — w zrozumieniu, że tylko na takich pojęciach i na takich instynktach ludności można zbudować silne, trwałe państwo". (R. Dmowski, Pisma, t. 10). Poważną przeszkodą w osiągnięciu takiego państwa polskiego są żydzi, żywioł nie zachodni, o zdegenerowanych pojęciach prawnych i etycznych. *Z tego choćby względu żydzi muszą być zniszczeni.* Państwo musi być nacjonalistyczne.

„Interes narodu nie tak dawno zjawia się w polityce, na miejsce interesów dynastii, świeckiej lub duchownj", (Dmowski). W narodowym państwie polskim interesy klasowe, jako odwołujące się „do niższych przeważnie instynktów społecznych", musza być przesłonięte interesem państwowym, podpartym poczuciem narodowej wspólnoty religijnej. „Starego hasła Bóg i Ojczyzna nic nie zastąpi". W państwie chodzić będzie o wyrobienie w członkach społeczeńswa zdolności podporządkowania swych potrzeb, widoków i upodobań interesowi narodowo-państwowemu, bez tego nie ma możności stworzenia zdolnej do życia organizacji państwowej., (Dmowski, Pisma, t. X). Przykładem tak zorganizowanego państwa są narodowe Niemcy. Należy mieć ogromny szacunek „dla ich energii, a przede wszystkim dla ich konsekwencji, która jest głównym przymiotem prowdziwie dojrzałego, męskiego umysłu", tymwięcej; że „ społeczeństwo pruskie, będące tak biegunowym przeciwieństwem naszego szlocheckiego typu, w znacznej mierze ulepiło się z tego samego materiału rasowego, co nasze, że dzisiejsi, niezawistni nam, ale jednocześnie tak nam imponujący Prusacy — to potomkowie wspólnych nam przodków, lub bliskich krewniaków, Słowian nadłabskich, Pomorzan i w ogromnej ilczbie czystej krwi Polaków. Ten sam w znacznej mierze materiał, tylko wychowany w innej szkole państwowej, dał tak silny, żywotny, tak czynny politycznie naród, że zdołał on zarganizować całe Niemcy, rozbite no niedawna i wyzute z najelementarniejszych instynktów politycznych". (Dmowski „Myśli Nowoczesnego Polaka").

Obciążne historyczną tradycją narodowych cierpień, w gruncie rzeczy bierne i uwikłane w zagadnienia klasowe, pozostałość po zarazie socjalizmu — społeczeństwo polskie jest w stosunku do pruskiego ideału znacznie zapóźnione. „Życie wszakże robi swoje. Przemiany prawne, postęp ekonomiczny upodabniają nasz kraj innym krajom europejskim. Zaczyna się wytwarzać podobny do swych odpowiedników w innych społeczeństwach typ polskiego kupca, przemysłowca, technika, kantorzysty... Zaczynają się zjawiać.. typy nowoczesne: agrariusz — wielki producent i mniejszy — farmer", chociaż jest jeszcze taki stan w kraju, że „gdy potrzeba dobrego administratora, można przejechać całą Polskę i odpowiedniego człowieka nie znaleźć" i „nie ma ludzi, umiejących dawać początek nowym gałęziom wytwórczości i zarobkowania"... mających pojęcie o „porównawczej wartości pracy, o istocie handlu, o obrotach bankowych, prawie wekslowym, o elementarnej buchalterii itp." „(Myśli Nowoczesnego Polaka'").

Uaktywniony przez nowoczesnych Polaków - agrariuszy i znawców prawa wekslowego — naród, nie hamowany antagonizmami klasowymi stanie do walki o swe prawa w Europie, gdzie ścierają się interesy dwu potężnych państw Anglii i Niemiec. Polityka państwowa wyznaczy Polsce interes narodowy, a prawem stanie się to wszystko, co przyniesie państwu korzyść.

Tak wyglądała pokrótce jeszcze jedna legenda przedwojennej Polski. Podpisała się pod nią znaczna większość akademickiej młodzieży — członków Stronnictwa Narodowego, Obozu Wielkiej Polski i Obozu Narodowo - Radykalnego.

Wychodzące we Lwowie „Wiadomości Korporacyjne" postawiły sobie żydoznawstwo za jeden z głównych celów pisma. Tam też pojawił się napastliwy artykuł pt.: „Słowa na alarm" protestujący przeciw przyznaniu w lipcu 1928 roku Julianowi Tuwimowi nagrody literackiej miasta Łodzi.

Na Jasnogórskch ślubach przedstawiciel lwowskiego uniwersytetu mówił: „Jesteśmy dziećmi epoki, której cechą jest czyn i walka!... Czas próby nadchodzi. Otóż my, współczesna młodzież polska, która poznała, że za masonerią i za komunizmem stoją zawsze siły światowego żydostwa, myśmy postanowili zwalczyć tę okropną zarazę żydowsko - masońską, która nie pozwala nam zbudować własnej cywilizacji, zabiera nam miejsce, przeznaczone na ziemi przez Boga".

Potrzebę „dobrych administratorów" państwa mieli zaspokoić słuchacze wydziałów prawnych, najliczniej obsadzonych, jak to wykazuje zamieszczona już wcześniej tabelka. Brak fachowców z wiedzą „o obrotach handlowych" mieli uzupełnić akademicy z wydziałów handlwych, również stosunkowo licznie obsadzonych. Nowe gałęzie wytwórczości rozwinęliby studenci politechnik.

Podziw dla narodu pruskiego, który wyrósł z pokrewnych nam składników rasowych wyrażała szczególnie młodzież ONR, naśladująca formy organizacyjne niemieckiej Hitlerjugend.

Tak więc zaakceptowała młodzież akademicka mit Polski katolicko - narodowej, w której miała usprawnić organizację prawno - administracyjną i udoskonalić przez studia handlowe i techniczne, orientując się ostrożnie w stronę III Rzeszy.

Warto sobie przypomnieć, jak wyglądała przedwojenna sytuacja w Europie środkowej?

Po opanowaniu Czech i Austrii wielkokapitalistyczny przemysł niemiecki osiąga po raz drugi w ciągu XX wieku fazę imperialistyczną i rusza do ofensywy na rynki gospodarcze środkowej Europy i Bałkan. Wielkie Niemcy obejmowały w roku 1938 prawie 76 proc. wywozu rumuńskiego, 43 proc. greckiego i ponad 40 proc. jugosłowiańskiego, 48 proc. tureckiego i 63 proc. bułgarskiego, a dostarczały 48 proc. przywozu węgierskiego, 50 rumuńskiego i jugosłowiańskiego, 51 proc. tureckiego i 58 proc. greckiego. (W. Jastrzębowski „Gospodarka niemiecka w Polsce"). W tym samym czasie obroty handlowe polsko - niemieckie obejmowały 32 proc. naszego handlu z Europą.

Dominująca pozycja niemieckiego imperializmu gospodarczego na rynkach środkowej Europy i Bałkan oznaczała także decydujący wpływ III Rzeszy na rozbudowę aparatu produkcyjnego podległych jej gospodarczo państw. Czas był dla Niemiec pomyślny. — Państwa zachodnio - europejskie wycofywały gwałtownie krótkoterminowe kredyty inwestycyjne z tej części Europy. — Jedynym źródłem niezbędnych kredytów stały się Niemcy. Publicystyka Goebbelsa przekonywała równocześnie z niemiecką akcją kredytową, że przyszłość mniejszych narodów Europy leży tylko w ścisłej współpracy gospodarczej pod ochroną III Rzeszy.

Jakąż rolę mogła odegrać Polska nowocześnie myślących Polaków w ramach planów gospodarczych kapitalistycznych Niemiec, czy kapitalistycznej Anglii?

„Wzmacniając siłę narodową, przy zachowaniu nierówności klasowych".. miała „wejść w grę wojenną kapitalistycznych imperiów. Przy próbach nowego podziału świata można było liczyć na rozszerzenie narodowej kolonii. Można było w ten sposób jeszcze bardziej usunąć z pola widzialności nierówności klasowe, tym silniej je utrwalając („Wieś nr 41 — „Kategoryczne żądanie").

Skutki manerwowania między ścierającymi się w Europie mocarstwami kapitalistycznymi były jednak inne, niż te, jakich się spodziewał twórca „Myśli nowoczesnego Polaka" — Roman Dmowski.

Wojna pokazała jak wygląda rozwój gospodarczy pod opieką wielkich Niemiec i gdzie leży granica ofiarowanej nam na czas wojny przyjaźni Wielkiej Brytanii.

NOWE DZIEJE

Skoro zatem przedwojenny system wychowawczy, podtrzymujący liberalno - kapitalistyczny ustrój państwa, oparty o misję kulturalną narodu w ramach zachodniej cywilizacji i praworządności — nie otworzył oczu młodzieży gimnazjów ogólnokształcacych i akademickiej na tragiczne dzieje chłopów i robotników, to klasy te przypomniały się same i walcza dziś z pozostałościami kapitalistycznej struktury społeczno - gospodarczej o „jasną zacność człowieka.

Nie jesteśmy już narodem skazanym na wielkość, obdarzonym przez Boga jakąś specjalną misją. Dziś jesteśmy wreszcie zwykłym narodem, dorabiającym się ciężko, jak wiele innych — nowego szczęliwego człowieka. Trzeba nam tworzyć nowe dzieje — wyrównania krzywd społecznych w ramach lepszej niż kapitalistyczna struktura państwa.

Do takiej pracy zaprasza dzisiejszą młodzież akademicką „cierpiący w ojczyźnie człowiek".

Czy długo będzie jeszcze czekał?

Wiesław Jaźdżyński

W OSTATNIM 41 (120) NUMERZE „WSI": z dnia 26 października 1947 r.:

Zespół „Wsi" — Kategoryczne żądanie. **Lech Budrecki** — Schillera idea teatru rzeczywistości; **Wiesław Jaźdżyński** — I jeszcze jedna uczelnia; **Aleksander Twardowski** — Na Dnieprze (**Tł. T. Chróścielewski**); Dwa wiersze. (**tł. A. Kamieńska**), Odznaczenie (**tł. A. Kamieńska**); **Eugeniusz Dołmatowski** — Nocny samolot (**tł. T. Chróścielewski**), Była wojna (**tł. A. Kamieńska**); **Jerzy Falenciak** — Co to jest naród?; Pielgrzym w Dobromilu; **Krystyna Kuliczkowska** — W sprawie poezji dla dzieci; **Anna Kamieńska** — Zły wilk, dobra babcia; **Piotr Wyrobek** — Wczasy kalwaryjskie; **Władysław Błachut** — Odpustowe refleksje; **Marian Niklewski** — Braki i pozostałości drobno-kapitalistycznej gospodarki; **Józef Pogan** — „Nieznana wieś" J. Kapuścińskiego; Fakty i zdania: **Stanisław Cieślak** — Ruch spółdzielczy a państwo; **Anna Kamieńska** — Oko w tyle głowy; **Wiesław Jaźdżyński** — Dlaczego chłopski Marks?; **Anna Kamieńska** — Minister Minc — wójtem; 3 ilustracje, 8 stron.

Hanna Kulągowska

PAMIĘTNIK DZIECIĘCIA WIEKU

Nadejście Polski Ludowej zaskoczyło niewątpliwie nie małą część młodzieży. Zdawało jej się, że po latach zmian, nieszczęść, bojów i strat Polska wynurzy się w postaci przedwrześniowej Ojczyzny swojskiej i poufałej. Abstrahując nawet od tego, jak ta młodzież ocenia zmiany ustrojowe i ekonomiczne, jest rzeczą jasną, że czuje się ona po prostu nieswojo, że nie może domacać się swej **dawnej zakonserwowanej we wspomnieniach Polski.** Bo młodzież ta uważa swój typ patriotyzmu **za wrodzony i naturalny.** Sądzi, że nie podlega nigdy żadnym sugestiom politycznym, że wystarczy być wiernym po prostu biało-czerwonej fladze, że to wyczerpuje wszystkie możliwości ustosunkowania się do spraw nowego kraju.

Świat zastany przez nas był jedynym dopuszczalnym gatunkiem świata. Zdawało się nam, że ustrój, w którym żyjemy, jest jedynie wyobrażalny — że naszym zadaniem będzie tylko potęgowanie jego dobrych stron. Przyjmowaliśmy na słowo taki a nie inny wygląd ojczyzny, nie podejrzewaliśmy wogóle istnienia innych form społecznych i ustrojowych. Wszyscy Polacy kochają się, wszyscy Polacy są wolni, wszystkim Polakom będzie coraz lepiej.

Prezydent państwa, wódz narodu, to były jakieś dożywotnie rangi, związane z pięknością charakterów tych ludzi — tytuły na zawsze. Że mógłby te stanowiska objąć kto inny (o czym wiedzieliśmy z konstytucji) było czymś bolesnym i nie do wiary. Cała nasza tkliwość wiązała się z tymi ludźmi. Nie przychodziło nam do głowy, że ich nazwiska to były znaki ideologiczne określonych tendencji politycznych, określonych programów. Że te programy mogły być zmienne i że naród nie był monolitem społecznym. Wierzyliśmy w jakąś potworną, a-intelektualną jednomyślność wszystkich Polaków.

Dzieje Polski płynęły dla nas jedną żyłą przez wszystkie wieki; w okresie niewoli żyła ta tętniła podskórnie, ale zawsze była tą samą. Polskość to było właśnie to. Żywiliśmy mit nagiej Polski, tej, która sama przez się była już światopoglądem.

Jakieś pretensje społeczne w łonie tego samego narodu były brzydkie, niepatriotyczne. Wierzyliśmy w jednomyślność wszystkich Polaków, w błogość wspólnej polskości, doznawaną przez wszystkich.

Była coprawda endecja, dość namacalna na znanym mi gruncie poznańskim, zdarzały się koleżanki powtarzające bezmyślne endeckie poglądy swych domów. Ale szkoła średnia ogólnokształcąca włączała umiejętnie te właśnie nastroje jako nie klasowe, a zaostrzające kontur klasycznej, narodowej miłości Polski i wzór tego oficjalnego patriotyzmu zapadł głęboko w młodzież — trwa aż do dziś, wyznacza stosunek do dokonanych przemian społecznych.

Cały zespół wyobrażeń szkoły złożył się na nasze przerażenie przed komunizmem. Komunizm to była dla nas negacja życia, dobrobytu, kultury. Komuniści to ludzie, którzy nie chcą jadać, mieszkać, tworzyć literatury, zakładać rodzin, hodować kwiatów — ludzie posępni, bezbożni, niemoralni.

Nasza ignorancja co do Związku Radzieckiego równała się tej nienawiści. Katolicka aura szkoły zakładała z góry taki stosunek do spraw sowieckich. Nawet bardzo inteligentna młodzież nie zdobyła się w tej dziedzinie na własne zdanie, gdyż równałoby się to zagrożeniu całego jej systemu wartości, systemu o pozorach prawdy ludzkiej i polskiej. Uczono nas historii — nie rozumiem do dziś, jak potrafiliśmy łączyć kult Kościuszki i Mickiewicza, radykałów polskich i radykałów Rewolucji Francuskiej z miłością dla przeczących im ludzi i zdarzeń. I tymbardziej nie pojmuję, jak udawało się to naszym dojrzalszym wykładowcom. Zdawało się, że czynią wszystko, by zapewnić nas o tożsamości zasług Kościuszki i Piłsudskiego. **(Bo obaj „kochali" Polskę, obaj o nią walczyli).** Żałowaliśmy chłopów w historii i robotników Konopnickiej. Ale ta litość nie prowokowała do żadnych bystrych spojrzeń na teraźniejszość. Beztrosko nie dostrzegaliśmy poprostu klas społecznych. Nasza wewnętrzna przychylność dla „ludu" miała świadczyć o ludzkości i niwelacji różnic społecznych. To było nowoczesne i ładne. Zdawało nam się, że ta urocza „bezklasowość" wewnętrzna rozwiązała już dawno w Polsce wszystkie zależności między posiadającymi i upośledzonymi. Nie zobowiązywało nas to do niczego, do żadnej obiektywnej działalności, do żadnej rewizji sytuacji społecznej.

Była u nas zgoda na istniejącą Polskę, aprioryczna zgoda na wszystkie jej posunięcia polityczne. Cokolwiek czynił Beck, natychmiast znajdowaliśmy na to tysiące patriotycznych uzasadnień. Radość z powodu Zaolzia obowiązywała tak samo, jak pójście do comiesięcznej komunii. Każdy inny układ sentymentów byłby niepolski i gorszący. Ten **dualizm religijno - narodowy** był substancją naszych dusz. Licytowaliśmy się w wewnętrznych wartościach, w uczuciowym nasileniu tych dwóch wiar. Szkoła kształtowała nas umiejętnie. Nie wywierała niby presji politycznej, ale była polityczna par excellence. Była polityczna w sposób naturalny, była polityczna tak jak jest się poprostu kobietą czy kaktusem. Była polityczna organicznie. Jeśli nie dawała bezpośrednich dyrektyw politycznych, to i tak nasycała poglądami właściwymi sobie. Byliśmy uzasadnieni jej klimatem, całą tą szkolną sytuację, a nie jakimś tam szkolnym komentarzem. Jak w dobrej powieści.

Społecznie byliśmy w gimnazjum dość jednorodni. Rekrutowaliśmy się prawie wyłącznie z środowisk mieszczańskich. Dzieci urzędników, nauczycieli, oficerów, kupców, przemysłowców, naukowców. Nieliczni uczniowie pochodzący ze środowisk proletariackich dociągali się gorliwie i umiejętnie do panującego stylu rozmów, ubiorów i poglądów. Uważali to za nieodzowny awans. Mówię o gimnazjum ogólnokształcącym. Ceniliśmy siebie wyżej niż uczniów szkół kupieckich, krawieckich i innych typów zawodowych. Pielęgnowaliśmy swe wnętrza bezinteresownie, bardziej po inteligencku. Wzbogacaliśmy nasz potencjał kulturalny, podczas gdy oni uczyli się dla pracy doraźnej, zarobkowej. Popełnialiśmy ten grzech pogardy, bo umiłowaliśmy typ własnej inteligencji — **autonomicznej, nieutylitarnej.**

Widzę tu potrochu źródło kaprysów i niechęci pewnych grup młodzieży wobec dzisiejszej instytucji kursów wstępnych, wobec młodzieży chłopskiej i robotniczej nieuposażonej w ten bezinteresowny polor tradycyjnej szkoły ogólnokształcącej.

Harcerstwo było organizacją wymarzoną dla tego typu mentalności. W pewnym sensie było **zawsze grą w próżni społecznej** — grą w świecie jakichś niepowiązanych z sobą społecznie jednostek ludzkich, które należało doskonalić i wypiękniać. Cała liturgika kostiumów i znaków harcerskich była ucieczką w dziedzinę malowniczej fikcji i przygody. Zachwalane formy harcerskiego współżycia grupowego były zawsze jakby współżyciem społecznym **„na niby".** Pomoc harcerzy dla ludności (akcja żniw, opieka nad dziećmi wiejskimi itp.) była jednak tylko charytatywnym wyżywaniem się, satysfakcją wyłącznie moralną. Popularność harcerstwa jest typowa i zrozumiała w młodzieży, która nie rozumie obiektywnych powiązań społecznych i **nie zamierza wpisywać swej pracy w roboczy plan narodu.** Była ona organizacją oportunizmu ideologicznego, właśnie dzięki swej ideologicznej pojemności. Tradycje harcerskie bronią dziś dostępu do organizacji takich, jak ZWM, których realny program, bezpośredni udział w życiu kraju i czynne zanurzenie się w rzeczywistości, wydają się wulgarne i przyziemne. Harcerstwo pielęgnowało naiwność i infantylizm społeczny młodzieży, dreptało wokół spraw wtórnych, luksusu wewnętrznego. Wiem dobrze, że charakteryzuję niecałą młodzież przedwojenną, mówię prawie wyłącznie „o młodzieży gimnazjum ogólnokształcącego". Tam właśnie dostrzegłam i współprzeżyłam wymienione nastroje, dojrzałam popularność harcerstwa, jako organizacji niezbędnej, dopełniającej konsekwentnie obraz szkoły. Doświadczyłam sama na sobie powagi harcerstwa, jego dbałości o sprawy mej doskonałości osobistej, tysiąca sztucznie wywoływanych prób doświadczenia naszej sprawności — wtedy gdy życie powinno być naturalnym terenem konkretnych doświadczeń, nawet dla społeczeństw dziecięcych.

Wybuch wojny, problematyka okupacyjna nie wyostrzyła jeszcze politycznego słuchu młodzieży mieszczańskiej. Niemcy były przede wszystkim **najeźdźcą, a nie państwem ideologii faszystowskiej;** zbirem, mordercą, ale długo jeszcze niebyło to dla nas wynikiem kapitalistycznego ustroju imperializmu. Sprzymierzeńcy i wrogowie tej wojny kojarzyli się dla nas dowolnie na zasadzie irracjonalnych wrogości międzynarodowych. Długo nie widzieliśmy starć ideologicznych tej wojny. Długo młodzież mieszczańska nie znała znaków rozpoznawczych prawdziwych demokracji. Wierzyła (i wierzy jeszcze jej część) w amerykańskie gawędy o demokracji. Wierzy w istnienie demokracji, niepopartych gwarantującymi wolę ludu stosunkami ekonomiczno-ustrojowymi.

Wielu z nas udało się **douczyć,** zrozumieć pewne rzeczy. Oceniamy dziś prawidłowo swą przeszłość zrozumieliśmy historię, **znaleźliśmy radość i dojrzałość.** Skończył się dla nas okres maligny. Nie uczestniczymy w historii jak w transmitowanym z dala słuchowisku. W miarę sił próbujemy na tę historię wpływać i to jest bardziej szlachetne i ambitne niż snucie „szlachetnych" wątków w krainie wyimaginowanych problemów.

Naszkicowałam takt mały, osobisty pamiętnik psychologiczny, pamiętnik mego środowiska. Zdaje mi się, że ta część młodzieży dzisiejszej, która z trwogą i niechęcią patrzy na kształt nowej Polski jak na bluźnierstwo przeciw tej minionej, gdyby sięgnęła do wspomnień domowych i szkolnych odkryłaby swą zależność ideologiczną od określonych sanacyjnych instytucji i wpływów. Zdemaskuje wtedy i może opłacze własną bezmyślność, niedokładności i żałosne śmiesznostki myślenia. Zapragnie może myśleć samodzielnie, uczciwie i krytycznie wtedy zyska piękny i ludzki światopogląd Zgarnie złoży w logiczny wzór rozsypaną i absurdalną dotąd wiedzę o świecie.

Pamiętam dobrze.

Klemens Oleksik

PRÓBA ELEGII

Dla ciebie piszę, matko moja.
Odeszłaś, do ostatniej chwili schylona nad balią.
Dziś mogłabyś odpocząć. Jeden z twych synów
uczy w gimnazjum dzieci stryja.
Józek pracuje w fabryce w Radomiu —
Piotr, wiemy, zginął. Umarł Janiszewski.
Ja tu, w Poznaniu, z daleka od domu
spoglądam często na rodzinny błękit
i czczę cię wielce, Mario, wyrobnico.
Czasem do rubryk pytają: czyj syn — skąd pochodzę,
a ja się wtedy niepewnie uśmiecham,
że jestem synem Marii i Wojciecha.
Jeśli o krok poszedłem dalej – jak pragnęli –
wiem, że dziś mogłoby ich to uweselić.
Często myślę o wszystkich seminariach swoich:
kromka chleba w kieszeni na wiano do szkoły —
pastwiska: święty wiosny w kaczeńcach i jaskrach
i smętek samotności na ulicach miasta.
Klasztor, potem Warszawa przyswojona w trudzie.
Trymestry ciężkie: rozmaici ludzie..

*

Zwęszyłem zapach świeżej kapusty:
poezja, na Skarbowej wśród białych obrusów
uwija się panna Elżunia: kocha się w studencie z prawa.
Idzie właśnie. – Boże, jak pięknie pannie Elżuni w tym czepku.
Głębszy talerz zupy i deser po brzegi filiżanki.
Wiosna przyjdzie po trzecim trymestrze:
zapomni się o szewcu, krawcu, o węglu, –
gwizda zakochaną piosenkę
kolega student.

Tadeusz Muras

LIST MIŁOSNY Z WAKACJI

Lato w Złakowie sianem pachniało jak zwykle.
W tym roku ptaki śpiewały nawet obficiej.
Niebo –
album nim tylko wykleј,
by się pamiątką ze wsi na całe miasto szczycić.

A jednak z domu nie wiozę żadnych wierszy,
by Ci wieczornej darować trochę zorzy.
Lecz zamiast słońca i muzyki świerszczy
niosę Ci ze wsi wiązkę reportaży.

Spójrz na tytuły: „Wici", „Spółdzielnia",
„Dom Ludowy", „Budowa drogi z zarośli"..
Więcej się ciesz, bo wieś moja pełna
Motorów i elektryczności

Gdy przyjdzie wreszcie czas pracy na nas,
pojedziesz ze mną razem.
Wsi mojej zaniesiesz sama
domów piętrowych krajobrazy.

Za miastem
pewno nie będziesz tęsknić nigdy;
nasz teatr stanie do wszystkich festiwali.
Wieś nasza – nie tylko pług i widły.
To ludzie — którzy pracować będą z nami.

Tadeusz Chróścielewski

JEGO UNIWERSYTET

Pamięci Mietka Jankowskiego — żołnierza — bohatera — niedoszłego studenta.

Mój uniwersytet nie ten gwarny
Co gwiazdą świateł w asfalt bił,
Lecz nocny i bezmiernie czarny
Ścieżysk wsupłanych w mrok i pył,
Czas, gdy pod najniklejszą gwiazdą,
Pełen sztubackich jeszcze ech
Pod kul chrzęszczących szedłem jazgot
Gdyż była „wsypa" i był pech.
Tak mnie z poszyciem czterech lasów
Związało czworo marnych lat
I nie bywało innych wczasów
Nad szorstką darń, gdziem druha kładł..
Biel audytoriów — płachta śniegu,
Colloquiów wiele — w mokrym rowie,
Gdym broń zaciskał palców brzegiem,
By bystrą, trafną dać odpowiedź.
Pod Latowiczem i pod Czerskiem
Składałem – osowiały mruk
Krótką mą pracę magisterską.
Nie weszła w akta..
Późny wnuk
Jej nie odgrzebie...
Cóż to, dzwon?

— To wielki zbliża się egzamin..
Długom się uczył, wielem złamał,
Hycel mi pięści kładł na szramach,
Aż gratulować przyszedł zgon
Tytułu mego...
Ojcze siwy,
Mawiałeś tak: „Twa młodość spływa
W dostatku, synu, w twoje lata
Jam się z cuchnącą biedą bratał,
A jeślim w górę dziś się wzbił,
To stąd, żem kuł ze wszystkich sił,
A polibuda — to nie tercet..
Ojcze, jam cięższy uniwersytet
Wybrał, by syn Twój a mój brat
Nim liść mnie wgarnie, a mrok zetrze,
Na jasne karty oczy kładł,
Nie patrzał w las, a w ciepłym swetrze
Słuchał na sali białych świateł
Katedry,
oby kuł
Jak ojciec, co się zgarbił w pół..
Lecz... nie dla siebie.

LISTY AKADEMICKIE

Warszawa, w październiku 1947 r.



Odrodzony w 1945 roku Uniwersytet Warszawski rozwinął się dziś tak dalece, że mamy tu nowe wykłady obok przedmiotów tradycyjnych, odziedziczonych jeszcze po programach przedwojennych. Mnie, jako zaawansowanego nieco w studiach prawnika, interesuje najbardziej wydział prawny. Teologij mieliśmy w tutejszym Uniwersytecie do czasu wojny aż cztery, z nich dwie — Starego Zakonu i prawosławną — unicestwiła niemiecka okupacja, każdą w inny sposób i z innych powodów. Student prawa, humanistyki czy też teologii nie wtyka nigdy nosa w obręb dyscyplin matematyczno - przyrodniczych, I na odwrót — student wydziału matematyczno - przyrodniczego czy medycyny nie głowi się specjalnie nad tym, do czego służy nasza wiedza. Mój naukowy światopogląd jest tego samego gatunku. A to jest pewnie źle. bo słyszałem, że ostatnie odkrycia atomowe postawiły dotychczasowy podział nauk na ścisłe i humanistyczne pod wielkim znakiem zapytania.

Gdyby mnie kto zapytał ilu jest np. na wydziale prawa U. W. studentów chłopskiego pochodzenia, nie umiałbym podać liczby nawet na oko. Znam kilku, no może kilkunastu, lecz ta ich chłopskość, jak i moja, nie jest w uniwersyteckim środowisku cechą wyróżniającą. Nie kryjemy tego, ale także nie manifestujemy bo i po co. Czy „Zetwuemowcy" lub „Zetenmesowcy" dzielą się między sobą podług pochodzenia na członków robotniczej (I-szej) i nierobotniczej (II-ej) rangi? Ja nigdzie nie należę, nie jestem „Wiciarzem" i — szczerze mówiąc — nie znoszę określenia „inteligent chłopskiego wzgl. ludowego pochodzenia". W tym jest coś upakarzającego. Taki mieszczański kompliment, klepnięcie po ramieniu, że niby... tego... swoją własną pracą doszedł... i że trzeba być dlań z wielką pobłażliwością. Jeżeli jeszcze przed wojną nazwa ta nosiła znamiona rewolucyjności to obecnie jest, według mojego zdania, dyskwalifikacją ze względu na kryteria wcale nie społeczne a intelektualne. Po prostu nie chcę być gorszy, albo nawet inny od reszty inteligentów i po to właśnie uczę się.

Prof. Natalia Gąsiorowska - Grabowska będzie miała na wydziale humanistycznym U. W. wykłady pt. „Sprawa społeczna: chłopska i robotnicza w epoce nowoczesnej". Moi przyjaciele, nazywający siebie „agrarystami", widzą w łączeniu sprawy społecznej chłopskiej i robotniczej niebezpieczeństwo przyćmienia problemu chłopskiego przez „zaprzysiężoną marksistkę" Gąsiorowską. Może to i prawda, że tej uczonej bliższe są zagadnienia robotnicze niż chłopskie, lecz to zawsze lepiej dla chłopów, że tak będą o nich uczyć, niż rozklepywać i rozmazywać ich nowoczesną historię podług starego szablonu, w rodzaju np. „dzieje wsi w Polsce i gdzieindziej".

Słuchacze naszego wydziału rozróżniają wykładających na nim profesorów w ten sposób. Jedni, przedwojenni, tradycyjni naukowcy i nowi powojenni czyli marksiści. Podział ten wydaje mi się niedokładny, zgoła fałszywy. W poczcie „nowych" znajduje się bowiem stary Grabski Stanisław a prof. Gintowt - Dziewałtowski ma podobno trzecie jeszcze nazwisko, które wstydliwie ukrywa. Marksistą jest na pewno Henryk Świątkowski, profesor - minister i być może, że także prof. Nowiński oraz prof. Rozmaryn. Z postępowym ruchem ludowym jest jak najmocniej związany prof. Jaroszyński. Nie mogę też stanowczo twierdzić, że pośród przedwojennych profesorów warszawskiego prawa nie ma przedwojennych marksistów.

O reformie rolnej w Polsce będzie u nas wykładał prof. Świątkowski.

Teraz pytanie na marginesie. O ile nasi uczeni są „wielkimi wtajemniczonymi" a o ile wychowawcami i nauczycielami narodu?

Akademik

Poznań, 26. II. 1939.

Kochany Jureczku!*)



Jak podobają Ci się buty, czy są wygodne? Szewc zaklina się, że na czas je wysłał, nie wiem ,czy to prawda. W każdym razie dobrze byłoby, gdybyś do mnie napisał cokolwiek. A może obraziłeś się o tę scysję na stacji? Chyba nie. To byłoby nierozsądne. Co ja jestem winien, jak kobieta się pali... Ale mniejsza o to. Za to mam pozdrowienia od Basi. Czy pamiętasz ją jeszcze? W tydzień po Twoim odjeździe przyszła do mnie, a zastała Wacka, który odrazu sobie dogodził na niej. później przychodziła dzień w dzień do nas. Przychodziła tak długo, aż się nie znudziło i zabroniliśmy Agacie w ostry sposób wpuszczać ją do domu. W międzyczasie był u nas Władek. Opowiadał o Basi, że jest jej pewien, że go nie zdradza i że w ogóle ona go kocha. Śmialiśmy się obaj w kułak. Chciałem mu powiedzieć, ale by się zmartwił. A on jej narobił sporo fotografii, masę pracy i zachodu w to włożył, a ona nam je podpisywała i ofiarowywała „W dowód pamięci"... Zemsta jest rozkoszą bogów...

W ostatnią karnawałową niedzielę urządziła Bradsztatowa, wspaniałe przyjęcie. Już w czwartek rano przybiegła zziajana do mnie i przerywanym ze wzruszenia głosem zaprosiła wszystkich moich znajomych ze mną na czele. Ano radio sobie kupili podobno, panienki będą, chcą tańcówkę urządzić... Zgodziło się... Zjawiliśmy się jak należy o umówionej godzinie. Jedynie Wacek próbował jeszcze swych kunsztów na pewnej młodej i bardzo przystojnej osóbce, więc oświadczył mi uprzejmie, że się spóźni albo wcale nie przyjdzie. — O piątej Wojtek, Janusz i ja stanęliśmy w obliczu plejady prześwietnych panienek: tej kulawej, Julii i Kazi. Poczułem się nieswojo. Julia na pewno nie z przypadku przyszła... Achtung! niebezpieczeństwo!

Zapewnie zdziwi Cię ta moja domyślność, ale ponieważ nie umówiłem się z nią na następne spotkanie wtedy, gdy razem byliśmy w Śmie, ona bombardowała mnie swymi listami, Miałem podstawy coś złego przypuszczać: wniosek — unikałem jej, jak tylko leżało to w granicach przyzwoitości. Przed samą kolacją zatańczyłem z Janką K. lambeth walka, trochę tańczyłem z Kazią i raz z tą koślawą. Poza tym siedziałem przy radio. Przy stole usadzili nas razem z Julią. O Boże! jak ona była miła, kochana, serdeczna — to tylko ten oceni, kogo chciała zdobyć. Chciała gwałtem wspólne talerzyki, pić z jednej szklanki, zaproponowałem jej wzamian, żebyśmy zjedli wspólnego faworka i poza tym milczałem zawzięcie. Gdy wstawaliśmy już prawie od stołu przyszedł Wacek, Sygnał: trzy dzwonki i już byłem przy drzwiach, przedstawiałem go i wprowadzałem w towarzystwo. Dali mu kiełbasy z kapustą, a mnie do towarzystwa szklankę herbaty. Pytam się, co go tu sprowadziło? — Ano, to jego bóstwo, ta ślicznotka jest dziewicą.

Po kolacji ciotka bierze mnie na stronę i pyta się czy gniewam się na Julię, bo przecież zawsze się lubiliśmy (sic!), i ona nas kocha (sic!), i chciałaby żebyśmy się kochali (sic!). Mój Boże! ma 60 tys. dolarów w posagu!! Zwołuję naradę wojenną. Nic nie uradziliśmy. Postanawiam lawirować dalej... A więc przeprosiłem Julię za moje zachowanie na wieczorku, przeprosiłem za to, że nie odpisywałem na jej wzruszające listy i — zatańczyłem z Kazią. To jej było za wiele. Wstaje, podchodzi do nas, łaps mnie za rękę i mówi słodziutkim głosikiem, że obiecałem z nią tańczyć. Tańczę, trudno..., a ona znowu wzięła mnie na strone (biedna moja męska płeć) i o czymś mówi czule, bardzo czule, ja nie słucham i wodzę wzrokiem płaczliwym po sali; wołam Janka. Janek wszczął intelektualną rozmowę: Interesującą, jak tylko Janek potrafi. A ja zdala obserwując, zważałem jeno na to, by ciągle byli razem. Wreszcie Julia idzie do domu. Janek dostaje na tramwaj i odprowadza ją hen!. aż na Abisynię. Poczciwy Janek.

Ciotka znowu do mnie z pretensją: jak mogłem tak martwić dziewczynę. dlaczego nie odprowadziłem jej? Ja jej na to: „Julia, moja droga cىociu, nie nadaje się na żonę, bo ma zły charakter, a tym bardziej nie nadaje się na kochankę (tak powiedziałem), bo jest do tego stopnia brzydka, że wstydziłbym się z nią na ulicy pokazać. A po drugie widziałem, że Janek się w niej zakochał. Nie mogłem koledze przeszkadzać. A po trzecie: czy to nie ja odprowadziłem Julię, skoro Janek aż złotówki zażądał za ten chwalebny czyn? Zasiadłem do brydża. 60.000 dolarów przepadło... Janku! niech Bóg broni pisać o tym do domu. Rodzice mogliby mieć pretensje do Bradsztatów o to. Wolę sam opowiedzieć, jak już będę musiał. Wolałbym jednak nie mówić.

Czy wiesz o zajściach w Gdańsku? W sobotę, w południe otrzymaliśmy depeszę, że pobito kilkunastu studentów — Polaków, w tym 8-miu ciężko. Niemcy zdobywali przez trzy dni szturmem Polską Bratnią Pomoc, na pomoc przybyło 150 studentów z Królewca. Była masakra. P.A.T. tamuje i łagodzi, jak może — podaje fałszywe i niezgodne z prawdą wiadomości. Ponieważ w sobotę było już jedno walne zebranie,- urządzono drugie o godzinie 12 w nocy. Chodziłem po Poznaniu do drugiej w nocy, wreszcie wróciliśmy z Wackiem do domu. Co dalej działo się — nie wiem.

Uchwalono nazajutrz rezolucję, stwierdzającą bojkot honorowy i towarzyski Niemców tak długo, aż gdańszczanie przeproszą Polaków i na politechnice nie zaistnieją normalne warunki.

To byłoby wszystko, a co u was się dzieje? Jest jaka reakcja?

Odpowiedź Twoja, którą do Hanki wysłałeś, bardzo się Wackowi podobała. Powiada on, że jej nie mogła się nawet przyśnić podobna odpowiedź. Z drugiej strony ona też bardzo głupio napisała do Ciebie. Mówię to, chociaż czytałem ten list przed wysłaniem nie chciałem poprawiać...

Odpisz mi, jak tylko będziesz miał czas. Ukłony dla Zbyszka

Uściski zasyłam

Lodek

*) List ten pochodzi z przedwojennego środowiska „złotej młodzieży" endeckiej.

Poznań, 12. X. 1947.

Kochany Wieśku!

Chcesz, abym ci opisał wrażenia, jakie wyniosłem ze studiów na uniwersytecie poznańskim. Czynię to chętnie, nieraz bowiem chciałem zapoczątkować dyskusję między nami na temat naszych uniwersytetów.

Najpierw trochę historii...

Na początku brakowało nie tylko profesorów, urządzeń sal, ale nawet... studentów. Młodzież wielkopolska nie mogła się kształcić w czasie okupacji na tajnych kompletach tak jak w G. G. — brakło po prostu narybku. Przyjmowano wtedy każdego, kto posiadał nawet niepewne papiery odrzucone, gdzie indziej. Tak więc przybywali do Poznania z innych dzielnic wszyscy „obrażeni" i zniechęceni czy to trudnymi warunkami mieszkaniowymi w Warszawie, czy to trudnościami natury formalnej w Krakowie.

Była to zresztą młodzież tragicznie zawiedziona w swych marzeniach i obliczeniach politycznych. Młodzież, z którą — jak sama uważała — życie obeszło się bardzo brutalnie i nie zaoszczędziło jej przykrych konsekwencji.

Na Uniwersytecie Poznańskim gromadziła się przede wszystkim powstańcza młodzież stolicy około 40 proc., partyzanci okolicy Kielc, Radomia i Częstochowy około 30 proc. Resztę stanowili synowie ziemi Wielkopolskiej oraz repatrianci. W takich warunkach na tle ówczesnej sytuacji politycznej i gospodarczej nietrudno było Rektorowi Dąbrowskiemu zawładnąć młodymi sercami, zawiedzionymi i politycznie i osobiście.

Działalność Dąbrowskiego jako organizatora i wychowawcy zaliczyłbym do bardzo pożytecznych. Pod tym względem można by go przyrównać do wielkiego Heliodora Święcickiego — pierwszego rektora Uniwersytetu Poznańskiego.

Dobrze czuli się w Poznaniu akademicy. — Poznaniacy przyjmowali przybyszów bez łezki histerycznej, ale z konkretna pomocą w postaci np. tanich mieszkań.

W miarę jak przybywały nowe „lata" skład Uniwersytetu poczynał się zmieniać. — Napływał element miejscowy, wypuszczony przez uruchomione po wojnie gimnazja.

Struktura społeczności akademickiej poczyna się zmieniać. Na miejsce dawnych studentów, pochodzących przeważnie z rodzin średnio zamożnych i drobnomieszczańskich zaczynają się pojawiać tu i ówdzie synowie chłopów i robotników. Jest ich jeszcze bardzo mało. Dumnie jednak noszą swe odznaki „Wici" czy ZWM, garną się do pracy szczególnie w organizacjach akademickich.

Zainteresowanie wypadkami politycznymi zaczyna ustępować miejsca szarej codziennej systematycznej pracy dobrze i starannie wykonywanej, tak bardzo charakterystycznej dla Poznaniaków.

Na czoło zainteresowań wysunęły się zagadnienia: 1) naukowe, 2) życia społeczno - organizacyjnego, wreszcie 3) intelektualno - artystyczne.

1) Prym w życiu naukowym Poznania wiedzie oczywiście Uniwersytet wraz z profesorami, docentami i asystentami.

Konsumenci wiedzy, tj. akademicy żywo interesują się zagadnieniami naukowymi. — Wiedzie to niejednokrotnie do dyskusji często ostrych, a spekulacja myślowa prowadzi do udanych — częściej nieudanych odkryć.

Młodzież podchodzi do nauki b. idealistycznie. Pragnie, aby ją cechowała powaga i niewzruszalność. Tymczasem w nauce, jak i w życiu panuje dużo poglądów ścierających się z sobą i nierozstrzygniętych. Na tym tle dochodzi u młodzieży do wewnętrznych konfliktów i rozczarowań. Mają bowiem profesorowie swoje upodobania, „kruczki" jak to mówią studenci, są ograniczeni do pewnych systemów i kierunków naukowych, od których są zależni, w których tkwią i z tego powodu wymagają znajomości często tylko swoich odkryć i teorii. Są przeświadczeni o swej wielkości tak bardzo, że inne prądy lekceważą.

Tutaj tkwi powiedziałbym największa tragedia młodzieży studiującej. Bo nie otrzymując podręczników skryptów napisanych przez swoich profesorów, korzystają z podręczników opracowanych przez obcych autorów, jakże często zupełnie lekceważonych i nieuznawanych. Czyż do uwierzenia jest fakt, że student studiujący biologię musi się uczyć koniecznie ze skryptu wydanego w Poznaniu, bo jeśli czerpać będzie wiadomości z innego źródła np. z Warszawy — może nie zdać z tego tylko powodu egzaminu. Czy biologia jest inna w Poznaniu, a inna w Warszawie?

Sprawa nie jest taka prosta, jakby się to ze studenckiego punktu widzenia wydawało.

Można zaradzić złu chyba tak: spowodować, aby profesorowie wzięli się jednak do opracowywania podręczników, ewentualnie skryptów. Wtedy inteligentna młodzież mogłaby czerpać wiedzę z różnych źródeł, a na egzaminie łatwo przystosowałaby się do wymogów swego profesora.

Albo niech profesorowie zechcą zerwac z dotychczasowym systemem kurczowego trzymania się swych metod nauczania, które jeżeli nie utrwalone na papierze, nie prędko wchodzą do skołatanych głów. Ale to są tylko plany i słowa, słowa.

2) Życie społeczno - organizacyjne kształtuje się w ramach legalnych organizacyj studenckich.

Naczelną organizacją studencką jest Bratniak oraz Caritas Academica, powstałe dla spraw samopomocowych.

Mniejsze organizacje akademickie można podzielić ogólnie na 2 typy. Jeden typ to organizacje o zabarwieniu politycznym, a drugie to koła naukowo - samopomocowe.

Problemy natury społecznej nurtują młodzież akademicką słabo. Dyskusje nie są różnorodne i mało dla Poznania charakterystyczne. Tak samo jak gdzieindziej wałkuje się tutaj poprostu marksizm i neokatolicyzm etc. Nie wiedzie tu prymu studium socjologii, jakby tego należało się spodziewać.

Z innych zagadnień społecznych bardzo żywo obchodzą studentów sprawy np. organizacji studiów. Niech świadczy o tym fakt dokładnego opracowania programu reformy studiów lekarskich przez studenta Machowskiego.

Pomysł został przyjęty przez ogólno-polski zjazd kół medyków i przedstawiony Ministrowi Oświaty. Domaga się w nim Machowski upraktycznienia i przystosowania się do obecnych warunków i potrzeb studiów wyższych.

Niektórzy profesorowie dbają o społeczne nastawienie swych wykładów.

Upomina się prof. Dega o „stacje naprawy motorów ludzkich" o specjalną ustawę dla chorych nieuleczalnie i chorych z wadami wrodzonymi.

Również wykłady prof. Janschera z chorób dzieci nie są pozbawione aspektu społecznego, czego nie można powiedzieć o wykładach z położnictwa, a przecież położnictwo specjalnie powinno być rozpatrywane ze społecznego punktu widzenia.

3. Życie intelektualno - artystyczne wśród studentów wyznacza przede wszystkim charakterystyczny dla Poznania kult dla muzyki. W żadnym mieście koncerty symfoniczne nie cieszą się takim powodzeniem, jak w stolicy Wielkopolski. Dobrze postawiona Opera jest tego wyrazem i namacalnym dowodem.

Teatry zaś mają wpływ na młodzież nieco mniejszy, a problemy wysuwane ze sceny rzadko są podstawą dyskusji i sporu.

Dosyć chyba, jak na pierwszy list.

Całuję Cię mocno, Wieśku

Stach

Kraków, 12. X. 1947.

Leonardzie!



Wybacz mi, że przez tak długi czas nie odzywałem się, ale zajęty formalnościami związanymi z przeniesieniem się na Uniwersytet Łódzki z Jagiellońskiego, nie miałem dosłownie ani chwili wolnego czasu.

Dziś chciałbym nawiązać do naszej dyskusji na temat życia uniwersyteckiego w Krakowie.

List będzie nie o całej młodzieży krakowskiej Almae Matris, ale o pewnej tylko grupie, która przed wojną stanowiła blisko 80% studiujących, a i dziś obsadziła Wszechnicę Jagiellońską w większości. Jest to młodzież ze środowisk: szlachecko - ziemiańskiego i tzw. „wolnych zawodów", czy prywatnej inicjatywy — jak to się dzisiaj mówi.

Sto lat temu głosiła ta młodzież liberalne hasła wolności, równości i braterstwa. Walczono na ulicach miast Europy o równouprawnienie i postępową — jak na tamte czasy — konstytucję państwową.

Znam częściowo z książek, częściowo i z opowiadań mego ojca— socjalisty, — młodzież akademicką Petersburga i Warszawy. Wystarczy zajrzeć w pamiętniki L. Krzywickiego, aby przekonać się, że akademicy szli zawsze pierwsi do walki o socjalizm. Nawet z historyjki p. Moszczeńskiej i Morozowskiej wnosiłem, że studenci zawsze bili się z uciskiem aparatu państwowego, rządami arystokracji, czy reakcji.

I dziś spora część akademików walczy o demokrację i socjalizm. Ale nie „złota młodzież" najstarszej w Polsce uczelni. Trzyma się ona jeszcze nadal przebrzmiałych mitów o potrzebie misji niesienia na Wschód Europy zachodniej cywilizacji. Dzieje się to w atmosferze dysput nad pojęciami zła i dobra, ustawionymi nie w płaszczyźnie historii ustrojów społecznych, ale na wyabstrahowanej od życia społecznego płaszczyźnie filozoficznej.

Niewątpliwie działa tu konserwatywno-katolicka atmosfera tego grodu - dziwadła. Mówię Ci, wierz mi, że te tysiące poszłyby chętnie pod wodzą biskupów na Jasną Górę, aby Opatrzność pobłogosławiła tam sprawiedliwy mieczyk Chrobrego i kastet.

W tamtym roku dyskutowano namiętnie pośród młodzieży sprawę obrony autonomii szkół wyższych. Wszechnica Jagiellońska boi się upolitycznienia swego życia w imię czystości nauki. Nie chcę wszczynać tu dyskusji na ten temat, ale pomyśl: ta negatywna postawa młodzieży wobec obecnego ustroju społecznego — to nie polityka?

Słynne zajścia krakowskie — to także nie polityka? Właśnie za autonomią ukryta młodzież utrzymuje wyraźnie polityczną postawę negowania wysiłków narodu w jego walce o nowy sprawiedliwy ustrój społeczny.

Patrz tylko, co Ci wielcy katolicy zrobili z mitem Chrystusa! Zajrzyj tylko do rozmai-

tych knajp. Znajdziesz tam zawsze tych wrogód demokracji i obrońców godności człowieka.

I przy tym wszystkiem zdaje im się, że są nadal pierwszą klasą społeczną, niesłusznie pokrzywdzoną przez ustrój. Trudno, żeby wyznawcy teorii rasowych hr. Gobineau, Chamberlaina, czy Rosenberga, gdzie demokrację nazywa się rządami hołoty — mogli się zgodzić na równość społeczną z synami chłopów i robotników. Poczucia równości nie nauczą przecież sztywni i chłodni profesorowie, którzy właśnie pogłębiają koniunkturę na odrębności klasowe.

No i takie z tego rezultaty, że z uczelni krakowskiej wychodzą doktorzy nauki odizolowani od rzeczywistości społecznej, którzy wielką nieraz wiedzę zaprzepaszczają, nie umiejąc jej użyć społecznie.

Mój list do Ciebie, jest częściowo spowiedzią. Ostatecznie i ja uprawiałem po knajpach antypaństwową propagandę. I mnie się zdawało, że prawdziwe życie narodu płynie na czarnej giełdzie. Wyobrażasz sobie z jaką radością piszę Ci, że krakowski okres moich studiów — skończony.

Twój
Zdzisław.

Lublin, 28. IX. 1947.

Mój Kochany!



Ciekawi Cię atmosfera naszej lubelskiej uczelni, a właściwie naszych uczelni, bo są aż dwie, jak w żadnym mieście. Nie wiem, czy tkwiąc w tym po uszy zdołam się zdobyć na taką dozę obiektywizmu aby rzeczywiście o czymś Cię poinformować. Ale spróbuję. Jeśli nie znasz Lublina, nic nie zrozumiesz. Biegunami Lublina są z jednej strony Katedra i Katolicki Uniwersytet, z drugiej — targ i stacja kolejowa. Jest to miasto księży i handlarzy, miasto dewotek i spekulantów, miasto dobroczynności i wyzysku. Tu zewsząd utartymi w ciągu okupacji szlakami dążą, wyjeżdżają i przyjeżdżają ludzie o zaniedbanym wyglądzie zewnętrznym, ale mocnej strukturze moralnej, mocnej na tyle, aby torować sobie drogę łokciami i językiem w przepełnionym wagonie, ludzie bez zachodu nie handlujący.

Struktura ekonomiczna miasta zawiera zdaje mi się wiele nienormalnego. Magistrat nie jest w stanie zapobiec ani szerzącej się nędzy, ani dać wszystkim pracę. Przy stacji ludzie zarabiają, czasem noszeniem bagażu, dostarczaniem przyjezdnym noclegów. Głębiej w mieście drobnym wypiekiem ciastek, jak w czasie okupacji gdy robiły to panie z dobrych domów. (Zresztą nawiasem mówiąc i dziś byłe ziemianki lubelskie, piekąc ciastka, mają w tym powód do chluby, że jednak nic ich klasy nie zdołało zgnębić do końca). Trudnią się ludzie przeróżnym pośrednictwem, a dopiero potem pracą w fabrykach związanych tu wyraźnie z rolnictwem i od niego zależnych.

Jest więc także to miasto — miastem chłopów, dziś przede wszystkim miastem uczącej się młodzieży chłopskiej.

Młodzież żyje w ciężkich warunkach. — Brak burs, mieszkań, brak domów akademickich, wszyscy zarobkują pracą dodatkową, która tak wreszcie pochłania, że zajęcia uniwersyteckie zaczyna się lekceważyć. Wszyscy tu „chodzą na uniwersytet", mało kto uczęszcza na wykłady i seminaria.

Zresztą nie wykłady i nie seminaria decydują o atmosferze uniwersyteckiej, bardziej może duszpasterstwo akademickie i najczynniejsze z organizacji Sodalicja Mariańska, Caritas itd.

Dyskusja o łasce bożej uświęcającej lub uczynkowej niewątpliwie kształtuje sprawności umysłowe studentów, utrwala określone nawyki myślowe. W żarliwości tej atmosfery katolickiej rywalizują ze sobą oba uniwersytety. Jeden prawniczy i humanistyczny, drugi raczej wyspecjalizowany w naukach ścisłych.

Nie jest to oczywiście najważniejsze. W podobnych środowiskach opinia liberała czy bezbożnika jest wcale przyjemna, stwarza nimb indywidualizmu, inności. Wierzący mają zawsze jakiś bezradny kult dla postawy buntu. Gorzej jest jeśli ta atmosfera wdziera się do pracowni i sal wykładowych.

Może innym razem napiszę ci coś o humanistycznej retoryce, zresztą w dobrym stylu i z tradycjami, o deklamacjach — na kulturalne tematy.

Dziś chciałbym napisać Ci o czymś, co niewątpliwie będzie dla Ciebie prawdziwym wspomnieniem o pewnym curiosum, czyli o dwóch przedmiotach obowiązujących wszystkich humanistów. Są to: etyka i psychologia. Myślisz, że nic w tym dziwnego. „Kuźnica" w każdym numerze drukuje Garandy'ego piszącego o moralności, a psychologia jest nauką, która najbardziej może zawiodła idealistów i fideistów nauką niemal przyrodniczą, empiryczną. Etyka jednak jest wykładem tylko i tylko etyki katolickiej z wyraźnie polemicznym nastawieniem wobec innych systemów, zaledwie dopuszczonych do istnienia. Coś jak Contra gentiles Tomasza. Bardziej polemiczny także niż empiryczny charakter, ma wykład psychologii który nie zadawala się podaniem stanu badań naukowych, lecz zawsze pamięta stwierdzić, jaką postawę zajmuje wobec tych badań — kościół katolicki. Nie wiem czy sądzisz, że sprzyja to wyrobieniu wiary szacunku dla nauki, dla nauki. A przecież tu mówi się najwięcej o czystej nauce, o obowiązkach akademika katolickiego, polegających na dążeniu do wiedzy, do prawdy dla niej samej a nie dla doraźnej korzyści kariery czy przydatności społecznej. Wykład etyki katolickiej obowiązujący wszystkich studentów bez względu na ich przekonania religijne. Hoduje u nas ten wygodny dziś moralizm, zrzucający z siebie odpowiedzialność za doraźne sprawy.

Przy tym właśnie uniwersytecie rozwija się „Studium społeczno - ekonomiczne wsi", które Cię tak interesuje.

Jest to młody zielony pręt na zmurszałym jak mi się wydaje pniu uczelni. Narazie nasiąka on jeszcze atmosferą ogólną, ale powtarzam Ci — Lublin jest nie tylko miastem księży i spekulantów, jest też miastem młodych chłopów. Mam nadzieję, że ze studium wsi wyjdzie rewolucja lubelska. Działajcie więc, umacniajcie się teoretycznie i ideologicznie, wnoście wojnę chłopską na Katolicki Uniwersytet, który pamięta przecież i inne wojny studenckie — z mieczami.

Ja tymczasem wrócę do mego Ianiciusa. I ten był chłopem.

Franek

Wrocław, 13. X. 1947.

Drogi Klemensie!



Nawiązując do naszych osobistych dyskusji odbywanych na marginesie obrad zjazdu rytwiańskiego, chcę Ci dzisiaj odpowiedzieć szczegółowiej.

Zacznę od polonistyki, zaręczam Ci, że będę mówił cały czas sine ira et studio, możliwie w tonie beznamiętnego sprawozdawcy. Wierzaj mi jednak, że to bardzo trudno. Nie wiem, jak się sprawy mają na innych uniwersytetach, może częściowo lepiej, a częściowo tak samo, jak u nas. To znaczy — źle. Nie myśl znowu, że jest to sąd potępiający w czambuł całą polonistykę wrocławską. Owszem i u nas mówią do rzeczy. Ale widzisz, co tu jest zasadą. Jak wygląda wykład z historii literatury? Mówi się np. o Mickiewiczu. Otrzymujesz może analizę twórczości pisarza w powiązaniu z konkretnym tłem społeczno-historycznym, krytyczny rozbiór jego dzieł wolny od prześladujących Cię z gimnazjum komunałów? — Nie po stokroć nie — odbywa się misterium, odprawia się wielkie nabożeństwo do św. Mickiewicza. Przede wszystkim prawie cała nasza literatura, a wieszczowie w szczególności to święci zesłańcy z nieba dla głoszenia ludziom prawdy, dobra i piękna. Poezja to wieszczbiarstwo, poeta to platoński „boski mąż", przez poezję sięgający szczytów poznania, pośrednik między nami a wiecznością. Twórczość jego wypływa z natchnienia, a natchnienie ze źródła, które bije wiecznie i daje święty „szał".

Na prawdę! Poeta w interpretacji profesorskiej, to jakaś Pytia, łykająca odurzające dymy nad szczeliną delficką.

A jak ma się sprawa z teorią, z poetyką? O niej w ogóle nic nie słychać, a od tego należałoby chyba zacząć. Po ukończeniu polonistyki nie będziesz wiedział, jak się brać do krytyki literackiej. Tak, mój kochany, sprawa jest na prawdę poważna. Pocieszę się, że nasi następcy doczekają się może jako wykładowcy dr Jana Kotta, my tymczasem módlmy się o zwycięstwo myśli ścisłej — empirycznej i racjonalnej. Ale a propos dr Kotta. Otóż we Wrocławiu odbywają się czwartki literackie organizowane przez ruchliwe i aktywne Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego. Na jednym z niedawnych czwartków gościł właśnie J. Kott, bojownik o nowy realizm. Czwartki mają bez wątpienia duże znaczenie dla rozbudzania życia kulturalnego we Wrocławiu, o czym świadczy chociażby duża frekwencja. Czwartki mają przeważnie charakter literacki, ale czasem i naukowy. Czwartki rozpoczęte w lutym 46 r. mają już dzisiaj za sobą dorobek złożony z 74 wieczorów. Do tego zaczynają się dołączać od 30.6.47. poniedziałki u literatów organizowane przez tutejszy Oddział Z.Z.L.P. — Tak więc widzisz, że strawy duchowej dla miejscowych entuzjastów literatury nie brak. Mamy tu wszyscy nadzieję, że intensywna praca Koła nie pójdzie na marne i zainteresowanie literaturą zacznie zataczać szersze kręgi, jakkolwiek reprezentowały je na czwartkach nazwiska od Lasa do Sasa. Dąbrowska, Andrzejewski, Kowalska, Żukrowski, T. Borowski, Truchanowski, Mach, Szewczyk, Baranowicz i inni, a naukę Kreutz, Mikulski, Kowalski.

Pisząc o życiu kulturalnym Wrocławia nie sposób nie wspomnieć o „Zeszytach Wrocławskich" kwartalniku literacko-krytycznym redagowanym przez T. Mikulskiego i A. Kowalską, o naszym świeżo upaństwowionym teatrze Dolnośląskim, który rozpoczyna właśnie sezon „Cyrulikiem Sewilskim" Beaumarchais'a, o Instytucie Śląskim, badającym zabytki polskości tej ziemi. Czy nie uważasz, że właśnie przez to związanie nauki ze społeczeństwem i żywą problematyką społeczną, a społeczeństwa z nauką wiedzie droga ku temu, co nazywamy nowym typem kultury?

I tego się chyba doczekamy, chociaż z katedr, z których głosi się aeronautykę mistyczną, ta nowa kultura nie wyjdzie.

Władek.

Łódź, 22. X. 1947.

Tadku!



Znamy Twoje wiersze, drukowane w piśmie młodzieżowym i dowiedzieliśmy się, że w tym roku przyjdziesz na łódzką polonistykę. Skrytykowaliśmy mocno Twoje wiersze i jednocześnie ucieszyliśmy się, że już w tym roku zyskamy z Tobą i z wielu Twoimi kolegami bezpośredni „zawodowy" kontakt.

Twoja historia była dla nas pretekstem do szerszej dyskusji o tym, czy nasza polonistyka spełni wasze nadzieje i czy da nam wszystkim do ręki narzędzia dla przyszłej pracy badawczej w/g naszej diagnozy szybciej znacznie ulegnie zmianie skład socjalny młodzieży studiującej, niż dobór sił naukowych. Pomyśl, że Ty i na pewno wielu Tobie podobnych w ciągu dwu lat niepodległości nadrobiliście kilkuletnie zapóźnienia w swom wykształceniu, teraz startujecie do nauki uniwersyteckiej. Tymczasem wykształcenie nowej siły naukowej potrwa co najmniej dziesięć lat.

Na uniwersytecie wytwarza się paradoksalna sytuacja, która jest odbiciem zapóźnienia nauki wobec postępu społecznego. Audytorium „ludowe" będzie karmione nieżywymi antynomiami mieszczańskiej nauki; uniwersytet zaśmieca umysły koncepcjami naukowymi, które mają wartość omal wyłącznie zabytkową.

Szczególnie sytuacja na humanistyce jest tragiczna. Na medycynie na przykład łatwiej znacznie krzewią się najnowsze osiągnięcia, które są dorobkiem obcych naukowców. Tłumaczymy sobie ten stan natychmiastową sprawdzalnością i praktyczną przydatnością medycyny.

Tymczasem u nas dotąd jeszcze są głoszone ex cathedra poglądy i metody, żywcem przeniesione z podręczników liczących sobie pół wieku. W badaniach literackich panoszy się nadal psychologizm i nieociosana biografistyka. Zresztą anegdot o uniwersytecie można by wiele przytoczyć (pytanie profesora, skierowane do studentki polonistyki: „Jakie ptaki występują w „Grobie Agamemnona"?).

Przy dotychczasowym prawodawstwie uniwersyteckim nie było żadnej nadziei na jakiekolwiek odświeżenie atmosfery naukowej polonistyki uniwersyteckiej. W reorganizacji wyższego szkolnictwa uwzględniono zmiany w sposobie habilitacji. Długo jeszcze trzeba będzie czekać, aby ośrodki naukowe pozauniwersyteckie nie były bardziej atrakcyjne niż naukowcy na uniwersytecie. Naturalnie, nasze pesymistyczne uwagi nie odnoszą się do całej humanistyki. Niektóre inne sekcje są w szczęśliwszym położeniu. Uniwersyteckie placówki są oparciem dla studentów w ich niespokojnych poszukiwaniach (np. ośrodek socjologiczny czy filozofia).

My sami przyszliśmy na uniwersytet z dobrą wiarą w autorytety naukowe i z ochotą do najpełniejszego czerpania wiedzy (od literatury assyryjskiej). Nadal zachowujemy podziw dla erudacji gromadzonej przez wiele lat. Ale też wyzbyliśmy się wszelkich złudzeń co do jej przydatności i nowoczesności.

Nie urodziliśmy się tak genialni, aby samodzielnie podjąć tę krytykę. To, co dały nam lata studiów polonistycznych zawdzięczamy w największej mierze frapującym publikacjom powojennym i osobistym kontaktom z poza — uniwersyteckimi ośrodkami twórczej myśli naukowej.

Dopiero teraz z perspektywy 2 lat widzimy jaką rolę spełnia w naszym rozwoju praca zespołowa. Wyrwani z gimnazjów i z systemu gimnazjalnego nauczania, byliśmy wszyscy omal równie zdezorientowani i zagubieni w rozmiarach problematyki naukowej.

Rzuciliśmy się wówczas na pracę w Kole Polonistów. Z początku skupialiśmy się w jednej z sekcji Koła — w sekcji badań literackich. Potem zajęliśmy się organizacją całego Łódzkiego Koła Polonistów, bowiem przykładamy wielką wagę do samodzielnych, zorganizowanych studiów młodych polonistów.

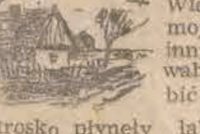
Pamiętamy, ile zrobiło w dziedzinie unowocześnienia naszego studium Koło Warszawskie, w latach międzywojennych. Wydało ono niewiele rozpraw które jednak są trwałymi pozycjami w dorobku naukowym (Budzyk, Hopensztand, Siedlecki, Żółkiewski i inni). Związki te były tym żywsze, że czuliśmy się bliscy ideologicznie grupie warszawskiej.

Rozpisaliśmy się na temat naszego zespołu, ale wiąże się w nim najwięcej naszych osiągnięć i nadziei. Nigdy nasza grupa nie była ekskluzywna. Pragniemy ją rozszerzyć i więcej znacznie zrobić, niż w zeszłych latach, w których dopiero się kształtowała. Czekamy na Twój przyjazd do Łodzi i spotkanie w naszym gronie — na polonistyce.

Merka i Zygmunt

Kurowice, 22. X. 1947.

Drogi



Nie pisałem do Ciebie prawie od roku. Wiele się złożyło na moje milczenie, między innymi matura i okres wahania — co z sobą robić dalej?

Beztrosko płynęły lata nauki w naszym chłopskim gimnazjum w Szczekocinach. Jakże inaczej przedstawia się nowy etap życia w który wstępujemy! Droga z gimnazjum prowadzi na rozdroża, gdzie darmo szukać drogowskazów. I dopiero teraz, kiedy przychodzi czymś być, działać, grać jakąś rolę w społeczeństwie, mogę już dobrze ocenić co mi dało gimnazjum. Znam wprawdzie piękne cytaty naszych wieszczów: „mierz siły na zamiary" i umiem „cierpieć za miliony", ale nie umiem cierpiącym milionom pomóc. Wiem jak wygrywała bitwy szlachecka konnica. Jeszcze dziś jeżdżą tak w kawalerkę młodzi chłopi do sąsiedniej wsi. I takiego konika dosiedli nasi profesorowie i wychowawcy, częściowo nawet ty — „kiedyś nas uczył, choć nie przeczę, że i piechotą po chłopskiej drodze chodziłeś. Nie gniewaj się, moja trudna w tej chwili sytuacja — zmusza mnie obejrzeć się w minione lata i szukać tam wytłumaczenia.

Mówiliśmy nieraz, jeszcze jako partyzanci A.K. o naszej pracy kulturalnej na wsi. Nie dziw się, mój zacny belferze — ale choć zostałem nauczycielem ludowym — pod Łodzią, nie umiem sobie skonkretyzować mojej działalności społecznej wśród chłopów. Brak mi narzędzi oddziaływania, poprostu nie wiele umiem — ja — prymus gimnazjum. Że jest źle, że chłop biedny, oświata nie zupełnie upowszechniona, brak spółdzielni, szkół zawodowych dla odpływających ze wsi — to ja wiem i bez szkoły, jak każdy chłopski syn.

Któregoś dnia byłem na zebraniu „Wici" we wsi, w której uczę. Jak śpiewali przed wojną tak i dziś śpiewają wiciarze. No, ale jak przyszło układać program pracy związany z rzeczywistością — ręce mi opadły. Nie mam dostatecznej wiedzy, więc zostało po staremu. Kupiłem sobie kilka książek, takie jak „Historia chłopów" — Świętochowskiego, „Dzieje chłopów" — Śreniowskiego czy „Drogowskazy" Króla. Lektura nauczyła mnie wiele, ale pomyśl: po to siedziałem w chłopskim gimnazjum, żeby drugie tyle lat douczać się elementarnej wiedzy o dziejach swojej klasy?

Postanowiłem studiować na uniwersytecie w Łodzi. Słyszałem, że jest to postępowa uczelnia. Bardzo mi zależy, żeby właśnie na takiej uczelni studiować.

Bo widzisz — znam już trochę studentów, szczególnie humanistów, którzy przyjeżdżali do domów w Szczekocinach po kiełbasę i, żeby się trochę widokiem łąk nad Pilicą odświeżyć.

Tacy gadają tylko na moście i przy zachodzie słońca. Opowiadali mi, że są bardzo rozwinięci duchowo. Chodzą do teatrów, na koncerty, gdzie sobie sublimują, czy jak tam — ducha, ale tak naprawdę to widzę, że oni do niczego nie należą, za nic nie odpowiadają a o wszystkim sądzą.

W Łodzi zapowiada się inaczej. Poszedłem piechotą — 15 km na egzamin i spotkałem się z przyjemną niespodzianką. Nie widziałem ci już paniczyków, którzy godzinę otrzepywali by rękaw, gdyby się chłop o nich otarł. Gęby wprawdzie mamy nie piękne, no ale ostatecznie wszyscy wiedzieliśmy na egzaminie „co tam panie w polityce". Daruj roztargnienie. Zapomniałem Ci napisać, że o ile mnie przyjmą, będę studiował ekonomię.

Spytasz skąd takie gospodarcze zainteresowania?

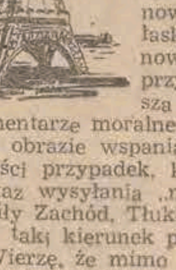
Opowiem Ci wobec tego pewne zdarzenie. We wsi, gdzie uczę, zamiast wygłosić kazanie, nawoływał z ambony ksiądz dobrodziej do kopania kartofli na plebanii. Ta czynność gospodarcza jest na pewno potrzebna. Ale widzisz, — chciałbym w dziejach społeczno-gospodarczych znaleźć rację dla plebana nawołującego do odrabiania nowej pańszczyzny. Mógłbym księdzu pomóc, bo go ludzie nie bardzo chcą słuchać.

Zdaje mi się, że uniwersytet uzbroi się wreszcie w narzędzia społecznego oddziaływania. Jest moim marzeniem założyć we wsi wzorowe koło „Wici". Na następne zebranie Cię poproszę.

Bądź zdrów

Edek

Paryż, wrzesień 1947.



Kochana Anno. Wszystko co piszesz, bardziej niż jakiekolwiek posłanie z kraju przypomniało mi o powojennych polskich bolączkach. A ja tu już tak się niegdziłam, jakby nie było nic poza moim pasożytnictwem, stale gotowa na nową kąpiel, na nowe łaskotanie kultury, na nowe pobudki, których przyjemność nie zmniejsza się jakby tego chciały elementarze moralne, ale rośnie. Oto masz w tym obrazie wspaniały w swej klinicznej typowości przypadek, który usprawiedliwiałby zakaz wysyłania „narybku kulturalnego" na zgniły Zachód. Tłukłabym głową o ścianę, gdyby taki kierunek polityki wygrał w Polsce. Wierzę, że mimo wszystko nie zgłupiałam na Zachodzie na koszt stypendium państwowego.

Wiara w sens, co się u nas w Polsce dzieje nie zaczyna mnie bynajmniej opuszczać. Ale zrozumiałam nasze zdarzenia w kontekście europejskim z całą podwójnością. We Francji toczy się potężna walka za i przeciw inwazji amerykanizmu. Jedni widzą w tym ocalenie francuskiej kultury, drudzy zgubę. Poza tym silna liczebnie partia komunistyczna — ale o swoistym, odrębnym wyrazie. Można by więc trochę głupkowato ale nie bez słuszności podzielić Francuzów na: U.R.S.S., pro. Etats Unis — i wreszcie rodzimych ksenofobów „konserwę anarchiczną", jak ich tam ktoś nazwał zwolenników samowystarczalności kulturalnej, wyrobów Lammberta, który im dłużej się kwasi, tym lepszy.

Moja miła, cokolwiek by przeważało — nic nie pozbawi tych najpotworniejszych nawet mieszczuchów z prowincji swoistej świadomości kulturalnej, świadomości historycznej, która nie da się na nic po marksistowsku przeliczyć, ale daje temu narodowi olbrzymie fory, możliwości eksperymentu, swoistą tolerancję nie do znalezienia gdzie indziej. I to często obok głupoty dbałości wyłącznej o brzuch i chorobliwej ateńskiej skłonności do czystego „wyzwolonego" gadulstwa. Daleka jestem od adoracji francuskiego bourgeois, ale pełna wściekłej, dorobkiewiczowskiej zawiści wobec tej arystokra-

tycznej rasy, której nawet reforma rolna, ani kołchozy nie zdałają wytrącić spod nóg dorobku dziejowego. Są sprawy w kraju, które zaczynają mnie przejmować dreszczem: polityka kulturalna.

Znasz mniej więcej mój „zarys pobytu" — prawda? Wiesz, że byłam przez miesiąc we Włoszech. Teraz siedzę od miesiąca w Royamont, starym gotyckim opactwie przerobicnym na ośrodek kulturalny dla kulturowych darmozjadów. Zanadto tu pięknie na jakiekolwiek rozmowy o reformie. Jutro wracam do Paryża... Obciążona międzynarodowymi znajomościami, całym piekłem narodowościowych „bezkompleksów", trochę przygnieciona poczuciem naszej stałej misji dziejowej, bez której tak bezpłatnie żyją sobie wszyscy inni. Twój list pełen jest podskórnej „woli", „czynu" — „stali". Za jaką cenę można odzyskać taką postawę? oczywiście za cenę realnej pracy.

Jaka jest teraz pozycja P.P.S. po zjeździe komunistycznym w Warszawie? Jaki jest kurs na literaturę? Pisz mi, moja droga!

Juli.

Moskwa, w marcu 1947.



LISTEM DOKOŃCZONA ROZMOWA

Cegło dalekiej Warszawy
Znaczona śladem kul
I wy partyzant prawy –
Jan Aleksander Król.

Dym z waszej fajki przesłania
Mdławe malunki na ścianach
— Słyszę „drobne pytania"
w kraj mój nacelowane.

Pytajcie. Jakoś odpowiem.
Nie jestem tu przecież gościem.
Starczy nam dla tej rozmowy
tematów, słów i szczerości.

Gdy takich dwóch się dobierze,
Gdy oko z okiem się zetrze –
dosyć gadania w numerze!
Za mną — na świeże powietrze!

Dniu piatiletki powszedni!
Weź nas w obroty! I spraw,
byśmy za strażą twą przednią
puścili się konno i wpław,

po grudzie, w ubraniach mokrych
(toście przecież nie mieszczuch!) –
Stoop! – oto Uralski Okrąg
pławi się w żyznym deszczu.

Kości od marszu bolą,
Lecz nie daremne to trudy.
Nasz współtowarzysz - geolog
natrafił na złoża rudy.

Cóż stąd, że w życiu on częściej
znajdował nie kruszec, lecz sól?
On teraz dostąpił szczęścia,
szanowny kolego Król!

Może pan być spokojny.
On wie, czego chce w tej chwili.
— Ci, co wygrali wojnę,
wiedzą, o co walczyli!

Naprzód! Pójdziemy śladem
spraw piatiletki zwyczajnych
— Jak idzie geolog na zwiady
szukając złóż złotodajnych.

Nową partię młockarni
dostali z Moskwy Baszkirzy,
turbin klejnoty czarne
rzeki na siebie niżą.

Ropa naftowa pod świdrem
bulgoce w Azerbejdżanie,
Syberia jeszcze przed świtem
ruszyła na polowanie.

Ostrożna ręka w kołchozie
słomą owija ul,
I górnik z kopalni wychodzi.
Smotritie, kolego Król:

Od potu jego i znoju
Ruda broczy posoką,
On dźwignął ojczyzną swoją
Na serca własnego cokół.

Pasja go twórcza porywa,
Co mu zmęczenie czy ból?
– Oto szczęście prawdziwe!
Paniatno, kolego Król?

Co rzec wam na pożegnanie,
gdy ściskam dłoń waszą bratnią,
— ostatnie „drobne pytanie"?
– a raczej życzenie ostatnie:

Zostańcie u nas na dłużej,
aby nam przyjrzeć się z bliska,
by Wielkiej Polsce powtórzyć
Wielką Prawdę rosyjską.

Wiktor Urin
(tłum. Jerzy Pomianowski)

Paweł Antokolski*)

Tłum. Tadeusz Chróścielewski

O poezji, wychowaniu młodych i kulturze

Pewnego razu z jakiegoś tam powodu Puszkin rzucił podstępne, czy też figlarne zdanie. Zdanie to stało się powszechnie znane i ogromnie często je komentowano, jak zresztą wszystko co kiedykolwiek wielki poeta powiedział. Oto ono: „Poezja, wybaczcie mili, musi być poprostu głupia".

Cała życiowa działalność Puszkina, jego oblicze duchowe, droga poetycka — to dowody czegoś wręcz przeciwnego. Pomimo tego, że Puszkin „żył i myślał", niesamowicie dużo wiedział. Cała twórczość jego była ekstensywna, ustawicznie wymagała paliwa nowych wrażeń, podróży, książek, znajomości, uczenia się nowych języków, sporów z przeciwnikami, kontaktu z życiem, z historią, z przyszłością. Puszkin to pionier kultury swoich czasów, egzegeta, badacz i głosiciel. A pomimo to zdanie o poezji „głupiej" niejednokrotnie komentowano jako testament Puszkina i traktowano jako swoiste „grzechów odpuszczenie" dla niezliczonej masy talentów poetyckich. „Poezja głupia" — Co to znaczy? Po prostu: Poezja niezależna od sankcji intelektu — tego najwyższego stopnia działalności duchowej. Ona żyje życiem własnym — wewnętrznym. Oto, bardzo znana piosenka, która dźwięczy nie rzadko i dzisiaj, a w niedalekiej przeszłości powszechnie panowała u nas i w poezji zachodnio-europejskiej. Poezja początku XX w. rozwijała się pod znakiem wyzwolenia z pod tyranii logiki i zdrowego rozsądku. Surrealiści i dadaiści okrzyknęli pochód krzyżowy przeciw przemocy semantyki. Ojciec dekadentyzmu Verlaine w utworze sztandarowym: „Sztuka Poetycka" wykrzykuje:

„Jak najwięcej muzyki, wystrzegaj się niebezpiecznego dowcipu, wiarołomnego rozumu, kalającego śmiechu, co łzami napełnia oczy jasnego lazuru — wystrzegaj się całej drańskiej, śmierdzącej czosnkiem kuchni. Urwij łeb hydrze krasomówstwa. Jeszcze raz — powiadam — muzyki! — Wszystko reszta — to piśmiennictwo".

Przeciw czemu zrywa się gniew francuskiego poety? Od jakich to nieznośnych prawideł się oswobadza? To człowiek, przesycony krasomówstwem poprzedników, które sprawiło, że jednak poezja stała się działaczką-rewolucjonistką, niezbędną dla życia narodu.

Oto dlaczego nakazuje Verlaine utożsamiać poezję z muzyką. Oto dlaczego wypędza z niej jak diabła jasność i logikę. Wszystko to, co uważa się za pseudo-literaturę, publicystykę, rzemiosło, prozę, plugastwo — bezczeszczące ową mowę bogów, jaką powinna być poezja. Oswobodzić, oczyścić oczy lazuru, aby nie tylko były bezchmurne lecz i bezrozumne. Wystrzegać się „skrzeku rzeczywistości" — oto program francuskiego poety...

Tow. Żdanow w swoim niedawnym wystąpieniu jeszcze raz postawił radzieckiej sztuce, a przede wszystkim poezji i literaturze twardo i zdecydowanie postulat służby narodowej, zajęcia stanowiska na linii ognia w walce ideologicznej. Poezja nasza, jak również wszelkie inne rodzaje sztuki, winna być poezją wojującego światopoglądu. Ażeby taką być, musi przede wszystkim posiadać ów światopogląd. A więc czy może być „głupia"?

Przenigdy!

Poeta musi być politykiem i filozofem i historykiem i w ogóle człowiekiem znającym się na wielu rzeczach, znawcą dusz ludzkich wrażliwym i wszechstronnie uzbrojonym **działaczem** — i to działaczem **nie w deklaracjach**, lecz **w samej twórczości.**

Wszystkie żywotne tradycje rosyjskiej (a zaiste, wielkiej) poezji potwierdzają, że taka poezja nie tylko jest osiągalna, lecz że właśnie taka jest jej generalna droga. Od Łomonosowa do Puszkina, od Lermontowa do Błoka, od Niekrasowa do Majakowskiego ciągnie się ta gwiaździsta sztafeta. Pokolenie przekazuje pokoleniu poezję rozumną, intelektualną, treściwą, przodownicę kultury, zwalczającą wszystkie urocze nierozsądki.

I kiedy Majakowski wykrzykuje:

„Jak śmiesz nazywać się poetą
I ćwierkać jak szara przepiórka
Dzisiaj trzeba nam kastetem
Krajać światy w czerepach.

Podobne oburzenie czuli niegdyś nasi działacze lat sześćdziesiątych.

Wielki poeta rewolucji nienawidził poezji skowronkowej i jej głupoty.

Wydaje mi się, że w ostatnich latach jaśniej i wyraźniej niż inni sformułował zadania takiej poezji młody poeta Michał Lwow:

Pod czyją władzą poeta?
Gdzie kończy się jego swoboda?
Czyim on jest poddanym?
Przed kim ma padać na kolana
I poprawiać się?
Jest poddańcem swego pokolenia
I Prawdy Wieku — Prawdy Prawd
I nie może sarkać
Na bieg życia i na swój okres
I wtedy wiersz będzie się rysował w duszy
Odrazu w kształcie gotowym do druku.

Ostatnia myśl — w tych wierszach to doskonała odpowiedź tym twórcom, którzy dzielą poezję na pisaną „dla siebie" i „do druki". Lecz pozwólmy mówić dalej poecie:

...Nie dla poklasku
Nie dla chwilowego nastroju
Dążymy do wiersza jasnego.
Gdybyśmy nawet chcieli pisać kwieciście
To poprawi nas Wiek - realista
A na naszym miejscu
stanie sto milionów realistów.

II.

Z jakiej byśmy strony nie podeszli do zagadnienia wychowania młodego pokolenia literackiego, czy chodzi o jakąś specjalną uczelnię, jak np. Instytut Literacki w Moskwie, czy o bezpośrednią opiekę starszego pisarza nad początkującym, czy o jakąś jeszcze inną formę wychowania, włącznie z konsultacjami i grupami przy redakcjach, zawsze główną naszą troską będzie codzienny i systematyczny ogólnokulturalny rozwój młodego pisarza.

I zbyt wczesna profesjonalizacja i zamiłowania osobiste i szereg innych przyczyn, które tak trudno wymienić — wszystko to powoduje zjawisko wchodzenia młodego pisarza czy poety w życie przy bardzo jednostronnym przygotowaniu.

Zna świetnie technologię swego rzemiosła, umie na pamięć ulubionych autorów-klasyków i współczesnych, doskonale orientuje się we wszystkim, co tyczy literackiej „codzienności" — ale jego horyzont myślowy jest więcej niż ciasny. Cóż on widział w życiu? Gdzie mógł ten horyzont rozszerzyć? Wszystko to odkładał na jakąś abstrakcyjną przyszłość, do niespełniającego się jutra.

I oto „jutro" dawno już zmieniło się we „wczoraj", początkujący ma już pod trzydziestkę i jest do szpiku kości zawodowcem, drukuje w bardzo grubych pismach i gazetach — wydał już tomik. — A spróbujcie no go wyegzaminować z matematyki, logiki i historii. Czy czyta z księgi nieba? Czy rozumie szept fali morskiej? Najniebezpieczniejsze jest to, że przewczesna profesjonalizacja doprowadza do rezultatów zupełnie różnych, niż te, jakich się spodziewaliśmy. Parnas jest jak wiadomo górą stromą i śliską. Wielu z tych, co to rozdrapawszy kolana do krwi, wspinali się na nią we wczesnej młodości po zdobyciu piętra spadali głową na dół. Powinęła się im noga. Brak jakiejś innej dodatkowej specjalności, nieprzyzwyczajenie do pracy czyni z nich wykolejeńców.

Mniejsza w tej chwili o ich dramat życiowy, który jest więcej niż straszny. Dla każdego pisarza, jak chleb i powietrze, niezbędny jest dopływ żywego materiału, żywych doświadczeń życiowych. A możliwości na to daje, i nie może nie dać jakaś druga specjalność, inna praca. Niedarmo Czechow i Wieresajew byli lekarzami, Łomonosow — znakomitym przyrodnikiem, Szczedrin — dzielnym administratorem, Szewczenko — artystą-malarzem, Lermontow i Lew Tolstoj — kadrowymi oficerami. Ilu arcydzieł nie mielibyśmy w naszej literaturze, gdyby Ogniew i Makarenko nie byli pedagogami, Krymow i W. Grosmann — inżynierami. Niżej podpisany otrzymuje wiele listów od młodych lekarzy czy techników, przedstawicieli innych zawodów — bardzo poważnych i wysoko cenionych w naszym państwie. Autorami są właśnie początkujący literaci. Chcieliby zapłacić za swoją literackość i sławę pisarską ceną niepomiernie wysoką, jeśli nie katastrofalna: gotowi rzucić zajęcia. Należy jak najmocniej wykazać fałszywość i szkodliwość takiego stanowiska, nie przyjdzie im do głowy, że dopiero ich praktyka lekarska czy inżynierska otwiera najwłaściwszą i najdogodniejszą drogę, by stać się pisarzem samodzielnym, o dużym doświadczeniu — pisarzem, który ma coś do powiedzenia innym. Taka powinna być szkoła poetycka.

III.

...Każdy z nas miał możność poznać w swej istocie dynamikę i styl naszej radzieckiej kultury. Jest to kultura socjalistycznej społeczności; otwarła ona na zawsze drzwi dla twórczej młodzieży: Wybieraj i szukaj, co ci do duszy przypada.

Twoją drogą — przeszłe i przyszłe! — Oto karta gwiaździstego nieba! Oto wieczysta płynność Heraklita, oto pękający zbiornik energii atomowej, oto czas i przestrzeń Einsteina. Oto cienie szekspirowskich olbrzymów i skrzypcowe chóry Bethovena! A dobrnij no do bieguna, a próbuj zachwycić oddechu w stratosferze. A czy nie stracisz rezonu przed tysiącookim audytorium? A czy potrafisz trwać przez całą noc twarzą w twarz z twym rękopisem?

Oto oblicze prawdziwej kultury.

Kultura jest zawsze dynamiczna. Jeśli kultura w cudzysłowie jest konsumcja dóbr, to ta bez cudzysłowu jest wytwarzaniem wartości. Jest ona uduchowioną twórczością wielu sił i talentów, skupionych dobrowolnie i związanych dobrowolnie jednym celem, jednym ideałem. W ten sposób dźwignięto olbrzymie pomniki architektury: Partenony, Kremle, Katedry gotyckie. Tak kształtowały się nowe rewolucyjne prądy naukowe, filozoficzne, estetyczne. Tak powstają opromienione ideą wspólnoty kolektywy, brygady, spółdzielnie. Lecz zadań kultury nie wyczerpuje jedna li tylko dynamika wytwarzania wartości, kultura jest zainteresowana w uzupełnianiu kadr, to też zawsze zwraca się obliczem ku nowemu pokoleniu. Symboliczny, zaiste, obraz tej kultury — to zalane światłem audytoria i gwar młodzieży zapełniającej je rankiem.

Tu oto rodzi się historyczny patos kultury. Troszczy się ona zarówno o przyszłość jak i o przeszłość.

I jeszcze jedno bardo ważne znamię kultury. Kultura nigdy nie była domatorską rozrywką wybranych, nie cierpi dyletantyzmu ni kapryśnego mecenatu. Pańszczyzniany teatr, gdzie widzem był pomieszczik i jego goście, to j e s z c z e nie kultura, a tomik wierszy dekadenta wydrukowany dla przyjaciół w 500 egzemplarzach to j u ż nie kultura. M a l a r s k i e p ł ó t n a z a m k n i ę t e w p a ł a c y k u k u p c a s ą z u p e ł n i e w y k r e ś l o n e z kultury.

Wyrwie się z nich na kształt wichru, w momencie, gdy otworzą się szeroko na rozcież drzwi prywatnych rezydencji, salonów, amatorskich kolekcji. Wtedy być może nastąpi daleko idąca zmiana ocen i ulica też rzeknie mocne swe słowo. Być może będzie się mylić, lecz zarazem nauczy się na błędach. Z punktu widzenia snobów taki obrót rzeczy nie będzie sprzyjać rozkwitaniu i rozwojowi kultury. Wtedy snoby odchodzą na stronę i czegoś tam czekają. Możliwe, że doczekają się, iż zawezwie się ich czasem jako arbitrów eleganciarum, lecz naogół życie nie czeka na nich i przechodzi do porządku dziennego.

Nasza poezja radziecka stoi na linii ognia, wraz z całą kulturą. Weszła w błyszczącej zbroi rozumu. I to już nie histeryczka z burżuazyjnego salonu, nie bezmyślne monstrum ze skrzydełkami z gazy, lecz towarzyszka broni Majakowskiego, córa wielkiego narodu, wiecznie młoda, z gorejącymi oczyma, obdarzona wysokim, dźwięcznym głosem, który chwyta za serca ktokolwiek go posłyszy.

---

*) P a w e ł A n t o k o l s k i, ur. 1896, wybitny poeta sowiecki. Utwory: „P o e z j e" — 1922 „W i e r s z e i P o e m a t y" — 1934.

W zbiorze pierwszym zestawia rewolucję październikową z francuską, w drugim specjalnie cenny dramat o Villonie oraz obrazy z życia dzisiejszego Kaukazu. Antokolski łączy w swej twórczości pewien umiarkowany romantyzm i klasyczną dbałość o formę z żywym odczuciem rzeczywistości.

T. Ch.

Lech Budrecki

„TRAWA JEGO OPISU"

Coraz głośniej zaczęło się robić ostatnio dokoła t. zw. powieści katolickiej. Pisał Kisielewski, pisał Jakimiak. Ostatnim z tego cyklu rozważań był artykuł J. Dobraczyńskiego umieszczony w „Dziś i Jutro". Pośród twórczości beletrystycznej 2 tylko typy książek zasługują na przymiotnik katolicki. A więc po pierwsze powieść „realistyczna", mająca referować konflikt łaski i grzechu, zawierając równocześnie „sformułowane bariery dobra i zła" (Interesująca metafora!), po drugie utwory dotyczące problemu jak najściślej związanego z religią, problemu świętego. Przejrzyjmy katalog powieści, spójrzmy, co nie zasługuje na potępienie i co nie podlega ingerencji szatana. Balzac, Stendhal, Cervantes, Zola, wszyscy działali za sprawą diabła. Nie zajmowali się przecież ani konfliktem łaski i grzechu, ani problemem świętości. To ostatnie zagadnienie poruszał wprawdzie France, wątpię jednak w to, iżby Dobraczyński zachwycał się „Tais". Katolicy nie lubią sceptycznych mieszczan. Gdzie więc jest realizm katolicki? Tielding nie pasuje. Sterne i Smollet też. Może więc przyjdzie ogłosić na łamach katolickich pism ankietę pod hasłem „Palmy klasykom". Starzy ojcowie literatury nie czytali widocznie wskazań o „tworzywie znajdującym się w nas i tylko w nas", o tym, że „wystarczy zwykła miłość" i o konieczności „wejścia w siebie". Obawiam się, że nie czytali świętego Augustyna, z którego mądrość ta się wywodzi. (Za nadzwyczajną ścisłość językową tychże cytat biskup z Hippony nie ponosi odpowiedzialności). Stąd też nie wiedząc, iż „źródła zła nie znajdują się poza człowiekiem, ale w człowieku", nie pamiętając urywków Ewangelii św. Jana nie mogli dorównać dziełom Leona Bloy. Czytając artykuł Dobraczyńskiego, przyznam się, czekałem na inwokację, nakazującą nam zastąpić „Czerwone i czarne" histeryczną prozą Karola Peguy, nakazującą wstawienie Posichorisa na miejsce „Toma Jonesa" i grubych wolumenów „Pantagruela". To byłaby konsekwencja. Zerwanie z antyreligijną tradycją, potępienie dwu wieków 18-ego i 19-ego. Powiedzieliśmy — obłęd, ale logiczny obłęd. Tak zaś autor „Najeźdźców" zawiódł nas wprowadzając drugie kryterium. I to jakie! Secesyjni poeci w długich pelerynach, przyjaciele Stefana Mallarmé, uczniowie Oskara Wilde nie zawiedliby się na nim. Kryterium piękna. Jak ono jest wymierne, to chyba już autorską tajemnicą Dobraczyńskiego. Powieść jest doskonała wówczas, gdy oba mierniki sygnalizują wartość. (Z tym drugim zawsze łatwiej. Nie wiemy bowiem nigdy na pewno, co to znaczy piękno. Dla każdej epoki słowo to ma inny wykładnik, dla każdego człowieka inny sens). Wiemy jak się nazywa ta postawa. Nosi ona miano intelektualnego hermafrodytyzmu, stanowiąc wynik intelektualnej ekwilibrystyki, kompromitującej w niemniejszym stopniu, niż wskazówki dawane pisarzom na temat ich życia, aby służyło ono ich literackiej działalności. Z tej dziedziny mamy tu rozkoszne twierdzonko. Proszę oto ono! Ponieważ Chateubriand miał kochanki, więc **trawa jego opisu**. (Czyżby Dobraczyński miał zamiar zastosować poetyckie zdobycze awangardy do publicystyki?) posiada miękkość ich włosów.

Katolicy, strzeżcie się takich przywódców, strzeżcie się takich przyjaciół!

Franciszek Kuś

PAMIĘTNIKI

POLSKA KRAKOWSKA 1897

Na wstępie zaznaczyłem, że u Szpelkowej mieszkało nas czterech: ja, Alszer, Gajewski i Krówka, później przybył mi jeszcze kolega Stohandel, szczery i serdeczny mój przyjaciel. Utrzymywał się sam, ale oprócz stypendium miał jeszcze dobrze płatną lekcję, powodziło mu się więc lepiej niż mnie.

W polityce cicho było, ale wkrótce zawrzało jak w ulu. Premierem wówczas był Kazimierz Badeni, były namiestnik galicyjski. Wydał on sławne rozporządzenia językowe dla Czech, co pobudziło Niemców austriackich do wszczęcia gwałtownej obstrukcji w parlamencie. Poparli ich socjaliści, głosząc że rozporządzenie to pogwałciło konstytucję. — Niemcy wyszli na ulicę i demonstrowali przeciw Badeniemu, który też niebawem podał się do dymisji, a ster rządu objął Gautsch.

Za moim pośrednictwem zaproszono nas na wiec akademicki do sali browaru Johna przy ulicy Lubicz. Ze mną poszedł Skoczyński, Gołąbek i Stopandel. Na wiecu tym uchwalono adres hołdowniczy dla Badeniego. Z akademików jeden tylko Wojnar, przeciw temu protestował i przypominał badeniowskie gwałty wyborcze i łamanie ustaw. Protest jego zaledwie kilku kolegów poparło i nawet nie był wzięty pod rozwagę.

Po uchwaleniu adresu wyszliśmy na ulicę ze śpiewem na ustach. Co chwila rozlegały się okrzyki: precz z Gautschem i śpiewaną była piosenka: Do du...y z Gautschem!

Policja towarzyszyła nam w pochodzie, ale nie interweniowała i nie rozpędzała nas, tylko komisarze prosili, abyśmy tak brzydko nie śpiewali.

Przyszedłem po północy do domu i musiałem się jeszcze zabrać do pisania elaboratu z rachunków, który nazajutrz miałem Wojciechowskiemu doręczyć do oceny. Byłem i śpiący i pod wrażeniem nocnej demonstracji, napisałem więc elaborat krótki i niedość starannie.

Otrzymałem ten elaborat z dopiskiem Wojciechowskiego: „Elaborat lichy, świadczy to smutnie o lekkomyślności uczącego. Kandydat nie rokuje nadziei w przyszłości jako nauczyciel". Pomyślałem sobie wtenczas: „gdybyś ty wiedział, w jakich warunkach pisałem ten elaborat, nie wydawałbyś tak lekkomyślnego sądu o mnie". Byliśmy tu obydwaj lekkomyślni, ja z powodu eleboratu, on z powodu sądu o mnie. Lekcja, którą miałem z rachunków nawet dość dobrze mi poszła.

Rozporządzenia językowe Badeniego, które Gautsch cofnął, rozpętały nową burzę w parlamencie. Przyszło do nowych demonstracyj po miastach. W Krakowie odbył się olbrzymi wiec z udziałem posłów czeskich. Kontrdemonstrację urządzili socjaliści. Obydwie demonstrujące strony spotkały się w Rynku, obok odwachu. Jedni śpiewają: „Jeszcze Polska nie zginęła", drudzy „Czerwony Sztandar". Byłoby może przyszło do bójki, bo obydwie strony wzajemnie się prowokowały, ale nadjechał oddział austriackiej konnicy i tłumy zepchnął na chodniki. Przeciwnicy ustąpili z pola bez walki.

Krakowowi trzeba przyznać, że nawet demonstrację urządzać umie. Wszystko, co robi, cechuje powaga, a jeżeli zdarzają się i tu wybryki, to tylko dla potwierdzenia reguły.

Za parę dni woła mnie, Skoczyńskiego, Gołąbka i Stohandla dyrektor do kancelarii. Zapytuje nas, czyśmy byli na wiecu akademickim i czy do Komitetu, który z nas należy. Odpowiadamy, żeśmy na wiecu byli, a do Komitetu wydelegowaliśmy kolegę Skoczyńskiego. „Lepiej byście pilnowali nauki — mówi nam dyrektor — cóż wy mizerni seminarzyści znaczyć możecie wobec takiego premiera? Radzę wam, wycofajcie się z Komitetu i zaniechajcie wręczania, czy przesyłania jakiegokolwiek adresu do niego"!

Przyrzekliśmy zastosować się do jego rady i wyszliśmy z kancelarii. Po naradzie wysłaliśmy pismo do zwyż wymienionego Komitetu, iż z łatwo zrozumiałych przyczyn, delegata naszego odwołujemy i sami się z Komitetu wycofujemy.

Kraków przygotowywał się do jubileuszu mickiewiczowskiego i do uroczystości odsłonięcia pierwszego na ziemiach polskich pomnika wieszcza. Miasto było wspaniale udekorowane festonami, flagami o barwach narodowych i miejskich. Przed Sukiennicami ustawiono trybuny dla gości, dalej wzniesienie dla chóru, tuż przed pomnikiem trybunę dla mówców i przedniejszych dygnitarzy i gości.

O godzinie dziewiątej odbywało się uroczyste nabożeństwo w katedrze na Wawelu, po którym uderzył dzwon królewski Zygmunt, głosząc Polsce chwałę syna, który „za miliony kochał i cierpiał katusze".

Rynek zapełniał się ludźmi. Na mównicy stanął przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika, marszałek kraju, Stanisław Badeni we wspaniałym stroju polskim, tuż obok na trybunie honorowej znakomici goście, między innymi syn wieszcza, Władysław Mickiewicz, powieściopisarz Teodor Tomasz Jeż i inni. Chór z kilkuset śpiewaków złożony odśpiewał okolicznościową kantatę, skomponowaną i dyrygowaną przez Władysława Żeleńskiego, po czym na dany znak z pomnika spadła zasłona. Odezwał się huragan oklasków, a mowę wygłosił Stanisław Badeni. Wszystkich mów i mówców nie pamiętam, tylko pierwszego i ostatniego Jakóba Bojko, który przemawiał imieniem włościaństwa polskiego. Znowu chór odśpiewał szereg pieśni, z wieży Mariackiej ozwały się dźwięki pieśni narodowej i zaczął formować się pochód na Wawel, celem złożenia wieńców na grobie wieszcza.

Najpiękniejszą, najbarwniejszą i sercu najmilszą w pochodzie była gromada dzieci szkolnych ze wsi powiatu krakowskiego, ubranych w prześliczny strój krakowski, z ogromnym wieńcem z polnych kwiatów. Mali chłopcy w sukmanach podnosili krakuski z pawimi piórami do góry, kroczyli z zuchowatą miną; dziewczęta w krasnych gorsetach i tybetowych spódniczkach niemniej dziarsko maszerowały, a wszystko to stanowiło tak piękny obraz, że człowiek go nigdy nie zapomni.

Już nie zajmowały mnie inne grupy, ani bogate kontusze, czy poważne czamary, nie patrzałem z taką miłością w duszy i radością w sercu na śmigłe postacie górali podhalańskich, jak właśnie na dziatwę szkół wiejskich. A przecież i maszerujące oddziały braci szkolnej, jako obraz tężyzny polskiej, napełniać mogły dumą każdego Polaka. A między sokołami polskimi widziało się czeskich i ruskich sokołów, którzy wówczas jeszcze nie hołdowali takiej nienawiści do wszystkiego, co polskie, jak później i tylko pewne jednostki już wówczas nas nienawidziły.

Nie będę opisywał ani ćwiczeń sokolich, ani dekoracji miasta, gmachów lub ulic, ale wspomnę o zatargu, jaki powstał między mną, a gospodarzem moim, Rusinem Szpelką. Przed wieczorem powiadam mu, aby przygotował okna do iluminacji i kupił świeczki. Odpowiedział mi, że świeczek nie kupi i świecił nie będzie. No to ja kupię świeczki za swoje pieniądze, a świecić się musi, odpowiadam. A ja nawet za pańskie pieniądze świecić ne pozwolę, odpowiada mi gospodarz. To my pana z pańskiego mieszkania wyrzucimy i świecić będziemy, podpowiada mi Krówka. I wkrótce i Stopandel, i Alszer i Gajewski powiadają mu, że w kuchni może se nie świecić, ale my pokój opłacamy, zajmujemy i wara mu od rządzenia w nim. Niech cicho siedzi, bo my się z hajdamakami uporać potrafimy. Widząc naszą postawę, dał za wygraną i ażeby do pokoju nie tracić prawa sam kupił świeczki i sam je zapalił.

STUDENT - PĄTNIK

W lipcu 1906 r. udałem się z harbutowską kompanią na odpust do Częstochowy. Ażeby paszport dużo nie kosztował, organizowaliśmy rodziny, a wtenczas taki paszport kosztował niewiele. Ja jako syn Golonki na nim figurowałem.

Ze wsi wyjechaliśmy furmankami do Krakowa, a stąd pieszo do Częstochowy. Przenocowałem się u Osuchowskich i jeszcze rano nie wstałem, gdy przyszedł brat z pożyczonym paszportem gotowy z nami do drogi.

Z miasta szliśmy za kompanią, dopiero później dołączyliśmy się i już do Modlnicy szliśmy razem. Pierwszy raz w życiu miałem kordon graniczny przekraczać. Jakkolwiek na komorę celną przybyliśmy wcześniej, to na Golonkę musiałem zaczekać, bo przecie jako ojciec miał nasz paszport.

Zaczęła się rewizja pakunków. Mnie, jako takiego pątnika, który, prócz ubrania, nic na sobie nie miał, nie rewidowano, ale Golonka miał kilka paczek austriackiego tytoniu. Kiedy go strażnik rosyjski zapytał co ma, wyjął wszystek tytoń i powiada: „Miałoby wasze państwo skapać, to se to weźcie". Uśmiechnął się na to strażnik i tytoń mu zwrócił.

Jako pątnicy poszliśmy prosto do kościoła poreformackiego, gdzie oddaliśmy pokłon cudownemu wizerunkowi Chrystusa, a nazajutrz po nocnym spoczynku byliśmy na nabożeństwie. Wypogodziło się nareszcie i po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Ponieważ nieco drogi obeschły, mogliśmy chodnikami i ścieżkami błoto obejść.

Weszliśmy w okolicę piaszczystą, widać było miejscami piaski lotne, miejscami już zasiane łubinem lub zasadzone lasem. Po południu wkroczyliśmy do miasteczka Lelowa, którego nazwę nasi na Lejów przekręcili. Natrafiliśmy na jakąś galówkę, bo sklepy były pozamykane, ale przeszliśmy sienią do jakiegoś szynku i tam uraczyliśmy się piwem. Nasz Golonka wlał sobie więcej niż było potrzeba, to też, gdy wyszliśmy za miasto i Kasper w imieniu kompanii żegnał cudowny obraz Matki Boskiej Lelowskiej, Golonka mu przerywa, mówiąc: „Cekaj Kasper, Golonka powie dwa słowa". Zwraca się w stronę miasta i woła: „O Matko Boska Lejowska, wybiłaś Szwedów i Tatarów, wybij te psiekrwie Moskali i Miemców" i krzyżem padł na ziemię. Kasper się uląkł wzmianki o Moskalach, ale pomruczał trochę i dał spokój.

Jak zwykle wczesnym rankiem zbudził nas przewodnik i ruszyliśmy w drogę. Przed południem jeszcze zdążyliśmy do miasteczka Przyrowa, ale tam nie zatrzymaliśmy się dłużej, bo spieszno nam było do sąsiedniej osady Świętej Anny. Pielgrzymi uważają ową osadę za dalszy ciąg Przyrowa, lecz zarówno na mapie, jak i w rzeczywistości stanowi ona odrębną jednostkę. Słynie cudownym obrazem św. Anny w tamtejszym kościele. Nasza kompania udała się też prosto do kościoła, a oddawszy pokłon cudownemu obrazowi, rozłożyła się obozem na przyległym placu na południowy spoczynek.

Wdałem się w rozmowę z jakimś kacapem, który sprzedawał orzeźwiający napój, zwany krótko kwasem. Smakował on mi wybornie. Kacap ten opowiadał mi, że w czasie powstania styczniowego pełnił służbę na granicy, później dostał posadę w Kongresówce, ożenił się z Polką, zżył się z Polakami i ani myśli stąd się wynosić. Miał także ładną harmonijkę, na której pozwoliłem sobie na zagranie: Jeszcze Polska nie zginęła i kilku krakowiaków. Po obiedzie idziemy dalej, ale że już Kasper pielgrzymkę dobrze czuł w nogach, szliśmy bardzo powoli. Na nocleg mieliśmy zdążyć do Gidel, ale zaledwie do wsi Borowej zaszliśmy. Obydwaj z bratem wykąpaliśmy się w rzeczułce, płynącej do Warty i napiliśmy się po szklance piwa. Szynków w mieście tam jest dużo, ale przejdziesz kilka mil, a na wsi piwa się nie napijesz, bo wyszynków nigdzie nie ma, tylko sklepy monopolowe z wódką.

Do Gidel zaszliśmy dopiero na drugi dzień rano. W miasteczku tym są 3 kościoły: jeden zaraz na skraju ogromny kościół pokartuski, dziś parafialny, ma w swych podziemiach zmumifikowane zwłoki przed kilkuset laty zmarłego zakonnika, doskonale zachowane. Dawniej pokazywano je pielgrzymom, dziś władze kościelne, czy świeckie pokazywania tego zabroniły.

Stamtąd udaliśmy się do kościoła dominikanów, gdzie mieści się maleńki, cudowny wizerunek Matki Boskiej, ponoś przez chłopka z ziemi wyorany. Z dawnych zakonników pozostał jeden jedyny przy życiu zakonnik, rząd bowiem rosyjski po powstaniu styczniowym zabronił przyjmowania nowych członków do zakonu i zniósł nowicjaty, jedynie tylko w Częstochowie paulinom na utrzymywanie nowicjatu pozwolił.

W Gidlach spotkaliśmy się z olbrzymią kompanią piotrkowską, która również do Częstochowy zdążała. Trzeci kościół, a właściwie kościółek, niegdyś parafialny, dziś zaniedbany, leży przy drodze do Częstochowy. Tuż obok niego, jako osobliwość, olbrzymi dąb, pamiętający jeszcze czasy pogańskie. Jak głosi miejscowa legenda, pod tym dębem miał jeszcze św. Wojciech nauczać, udając się do Prus. Niestety, dąb ten już wówczas był suchy, bez kory i gałęzi i jedynie suchymi konarami, wyciągniętymi w niebo skarżył się na barbarzyństwo ludzi, którzy po odrobinie nożami maleńkie drzazgi odłupywali i na jakieś lekarstwa używali. Ano, wiara ludzi uzdrawia.

Z Gidel szliśmy cokolwiek szybciej i dopiero w Kłomnicach obok stacji kolejowej zatrzymaliśmy się na dłuższy spoczynek. Tam wdałem się w rozmowę ze studentem gimnazjalnym. Zaczął on mnie wypytywać o nasze stosunki polityczne, ale gdy zauważyłem, że on o przeciwnikach argumentem rozprawiać nie umie, że według jego zdania kłótnie partyjne rozstrzygać można tylko przy pomocy browninga, przeprosiłem go i wmieszał się w tłum naszych ludzi. W ogóle roznamiętnienie tutejszych polityków przechodzio granice mojej wyobraźni; wychowany w państwie konstytucyjnym, przyzwyczajony do zwalczania przeciwnika argumentami, nie miałem pojęcia, co się tu dzieje, mimo, iż dowiadywałem się o nich z naszych dzienników. Wszak u nas na zgromadzenia socjalistyczne przychodzili jezuici, głos niejednokrotnie zabierali i włos im z głowy nie spadł, podczas, gdy tam z przeciwnikami rozprawiano się browningiem, czy nożem.

Po południu zdążyliśmy na jedno wzgórze, skąd w oddali zamajaczył szczyt wieży kościoła jasnogórskiego. Tam przewodnik wygłosił do pątników mowę, podczas której kobiety płakały. Ja z bratem usunąłem się, aby ględzenia Kasprowego nie słuchać i ukryty na miedzy za zbożem położyłem się dla wypoczynku. Przewodnik w swej gorliwości religijnej przesadzał, a w przemówieniach do pątników niekiedy dopuszczał się obrazy ludzkiej, sam siebie za jakąś wyjątkową osobę uważając. Dopiero, gdy kompania w dalszą podróż ruszyła, poszliśmy i my za nią, lecz o jakie 200 kroków przed nią.

W miarę zbliżania się do miasta, spotykaliśmy liczne rzesze robotników, śpieszących do pracy, i coraz więcej fabryk, aż wreszcie koło godziny 10-tej wkroczyliśmy do miasta. Tam wstąpiliśmy do kościoła parafialnego, stojącego tuż obok rynku, po czym szeroką i drzewami wysadzaną aleją Panny Marii zdążaliśmy wprost na Jasną Górę.

Zdziwiłem się też niemało, zobaczywszy na frontonie cerkwi prawosławnej obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

U stóp Jasnej Góry stał pomnik cara Aleksandra II z polskim i rosyjskim napisem. Chciałem go przeczytać, ale przechadzający się tam sołdat moskiewski odstraszył mnie od tego, bo ponoś ubiegłego roku zamach bombowy na niego urządzono. Wiedziałem o tym i nie odważyłem się za blisko do pomnika zbliżyć.

Poszliśmy ku figurze Matki Boskiej, stojącej opodal bramy klasztornej, gdzie za pewną opłatą stosowną przemową paulin witał pątników. Stanęliśmy i my pod tą figurą i nas też ksiądz powitał i do kościoła wprowadził.

Udaliśmy się prosto do kaplicy Matki, oddaliśmy pokłon cudownemu obrazowi, po czym wyszliśmy z kościoła, aby poszukać sobie kwatery. Umieściliśmy się w jakiejś stodole. Po zjedzeniu obiadowego posiłku, poszliśmy zwiedzać kościół i klasztor. Sam kościół nie wywiera tego wrażenia na pobożnego pątnika, jakie wywierają stare gotyckie świątynie krakowskie. Natomiast kaplica uroczyście człowieka nastraja. Nastój ten jednak jest odmienny od nastroju jaki budzi się w duszy Polaka wkraczającego w mury katedry na Wawelu. Tam budzą się uczucia religijne, tu religijne i narodowe; tam człowiek skłania się do modlitwy, tu do rozmyślania i dumania. Podczas, gdy klasztor częstochowski związany jest tylko z historią Polski z czasów najazdu szwedzkiego i konfederacji barskiej, katedra z całością dziejów naszych. Tam obraz przemawia do duszy chrześcijanina, tu każdy kamyk, każda cegiełka przemawia echem minionej wielkości.

Gdy jedni z Polaków Jasną Górę uważają za najświętsze miejsce w Polsce, zaś inni katedrę na Wawelu, ja staję po stronie tych ostatnich i daję pierwszeństwo katedrze.

Obejrzawszy kaplicę kościół i krużganki dokładnie, wyszedłem na plac przed kościołem, gdzie u stóp figury czekała na przywitanie kompania piotrkowska, ta właśnie, z którą spotkaliśmy się w Gidlach. U stóp tej figury zebrała się młodzież kompanii i odśpiewała głośno pieśń: „Boże coś Polskę", po chwili dopiero przyszedł ksiądz z klasztoru i w płomiennym przemówieniu wskazał na obowiązki Polaka w dobie dzisiejszej. Mowa nastrojona na nutę patriotyczną wywarła na słuchaczach głębokie wrażenie.

Z orkiestą i chorągwiami kompania udała się do klasztoru, a ja z bratem udaliśmy się na wały, aby obserwować miasto i okolicę.

W tym samym dniu zwiedziliśmy jeszcze kościół św. Barbary i znużeni poszliśmy spać. Nazajutrz rano poszliśmy na nabożeństwo do kaplicy, gdzie podczas Mszy św. śpiewał chór klasztorny godzinki. Po nabożeństwie i śniadaniu, ja, brat i Golonka poszliśmy do knajpki na szklankę piwa. Siedzimy sobie zupełnie swobodnie, aż tu nadchodzi jakiś towarzysz z plikiem gazet w teczce. Przystępuje on od razu do mnie i wciska mi gazetę w rękę. Czytam tytuł: Czerwony Sztandar, Organ partii socjalistycznej Królestwa Polskiego i Litwy". Zapytuję go, czy nie ma innej gazety. Powiada, że ma „Robotnika", organ PPS. Biorę go, płacę zań 3 kop. i zabieram się do czytania. Na to zwraca mi uwagę ów „towarzysz": „widzę, że pan nietutejszy, niech pan to czym prędzej schowa, bo łatwo mógłby się pan na Sybir przejechać". Zląkłem się, bo na paszporcie figurowałem jako syn Golonki, mógłbym więc i o podszycie się pod cudze nazwisko być oskarżony i gazetę natychmiast schowałem.

Na placu przed bramą klasztorną widzę ogromne zbiegowisko ludzkie. Zapytuję, co się stało? Ano nie widzi pan — powiada mi pewien robociarz — że niosą zabitego rewirowego, którego przed chwilą młody pepesowiec z browninga zastrzelił!

Widząc, jak policja rozbiegła się na wszystkie strony, szukając zabójcy, wróciłem do kościoła, przesiedziałem na chwilę i potem dopiero, gdy już zbiegowisko było rozprószone, poszedłem na kwaterę. „Robotnika" przeczytałem od deski do deski i podarłem na drobniutkie kawałeczki. Po południu znowu poszedłem na nieszpory. Widziałem tam mnóstwo żołnierzy rosyjskich, a między nimi i jednego Chińczyka z warkoczem. Modlili się oni narówni z naszymi z czego wywnioskowałem, że różnica obrządku wschodniego a zachodniego nie jest tak wielka i nienawiści między katolikami a prawosławnymi nie ma. Nienawiść szerzy góra dla celów politycznych, podczas gdy gmin i tu i tam widzi tylko chrześcijan.

Aby przecież coś z Częstochowy przynieść, kupiłem kilka paczek doskonałej tabaki zielonej, która miała przyjemniejszy zapach od austriackiej. Spodziewałem się to przenieść łatwo, bo nie miałem żadnego pakunku, a w kieszeni mogłem wiele różnych rzeczy przemycić, nie narażając się na zarzut przemytnictwa.

POLITYKA CHŁOPSKA 1906

I w polityce zaznaczył się ruch wielki. Parlament austiacki uchwalił nową ordynację wyborczą, wprowadzającą powszechne prawo głosowania. Główny postulat stronnictw lewicowych został wywalczony. Trzeba było masy wyborców z nowym sposobem głosowania zaznajomić. Urządzano więc w tym celu osobne zgromadzenia i wiece.

W Harbutowicach pierwszy taki wiec urządziłem w lutym 1907 r. w izbie Jana Kocańdy na Coskówce. Głos drżał mi ze wzruszenia, gdy zgromadzenie to zagajałem. Ale pierwszy mój występ publiczny wypadł dobrze, a mowa na słuchaczach wywarła dodatnie wrażenie. Pierwszemu temu wiecowi w Harbutowicach przewodniczył Józef Rusin, wójt z Bieńkówki i on też odpowiedni referat wygłosił. Wiec zakończyliśmy odśpiewaniem hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła" i pieśnią: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem".

W marcu 1907 r. zwołał Stapiński do Wadowic zjazd delegatów gminnych komitetów ludowych celem wyboru kandydata na posła. Zjazdowi przewodniczył Andrzej Średniawski z Górnej Wsi przy Myślenicach, b. poseł sejmowy. Stapiński chciał przeforsować kandydaturę Bernadego, kierownika szkoły z Woli Radziszowskiej, albo Dziąbka z Zygodowic. Delegaci jednak w tajnym głosowaniu ogromną większością głosów wysunęli kandydaturę Średniawskiego i Stapiński z wolą ludu musiał się pogodzić.

Ponieważ wówczas wybierało się także zastępców posłów, więc polecono na zastępcę Bernadego. Na owym zgromadzeniu zobaczyłem także studenta z piątej klasy gimnazjalnej. Pytam się Styły, co to za student? A to Putek, syn kolejarza, który mimo młodocianego wieku interesuje się polityką ludową. Poznałem jeszcze Starowicza z Krzywaczki, który miał ochotę bodaj zastępcą posła zostać, a gdy zauważył, że nic z tego nie będzie, poszedł tam, gdzie można było coś uzyskać.

Okręg nasz obejmował powiaty sądowe: Myślenice — Skawina — Kalwaria — Wadowice — Zator i wybierał dwóch posłów. Ludowcy liczyli tylko na jeden mandat i jedną tylko kandydaturę wysunęli. O drugi mandat ubiegali się: Marek Łuszkiewicz, marszałek powiatu wadowickiego, Mikołaj Klakurka, adwokat z Myślenic, Franciszek Sułczewski, urzędnik Kasy Chorych z Krakowa i Stanisław Kuzia, naczelnik sądu w Skawinie.

Ludowcy rozwinęli szaloną agitację za Średniawskim. Ja sam w wolnych chwilach od nauki uganiałem po powiecie, urządzając wiece. W samych Harbutowicach, Palczy i Baczynie odbyliśmy 5 zebrań, nie licząc Sułkowic, Myślenic, Kalwarii, Izdebnika itd.

W naszych okolicach pomagał mi Jan Trąbka, ów towarzysz młodzieńczych lat w Izdebniku spędzonych. Z nauczycieli prócz wspomnianego już Bernadego, agitowali jeszcze Michał Baścik z Myślenic i Stanisław Parys z Krzywaczki. Trzeba było wielkiej odwagi cywilnej na owe czasy, aby nauczyciel mógł się odważyć na wzięcie udziału w agitacji wyborczej na rzecz kandydata stronnictwa skrajnego, za jakie uważano Stronnictwo Ludowe. Mimo pogróżek pracowaliśmy dalej i zyskaliśmy pełne zaufanie ludu.

Nasz obwód wyborczy obejmował: Harbutowice, Palczę, Baczyn i Zachełmną. Głosowanie odbywało się w szkole. Należałem do komisji wyborczej, więc w dniu wyborów w agitacji udziału nie wziąłem. Przydałem się w komisji, bo kiedy jeden z członków chciał kilka głosów błędnie napisanych unieważnić, sprzeciwiłem się temu, powołując się na ordynację wyborczą, która powiada, że głos należy uważać za ważny, jeżeli wyborca i członek komisji wiedzą o jaką kandydaturę idzie. Tego samego zdania był komisarz wyborczy, który sam kilkakrotnie nazwisko Średniawskiego poprawiał.

Wynik głosowania był taki, że na 516 ważnie oddanych głosów, 506 padło na Andrzeja Średniawskiego, reszta na Sułczewskiego i Łuszczkiewicza. To też jako poseł większości wybrany został przy pierwszym głosowaniu Średniawski, otrzymawszy 7799 głosów, a między Sułczewskim, a Łuszczkiewiczem odbyć się miały ściślejsze wybory. Wynik był przesądzony na korzyść tego kandydata, za którym oświadczą się ludowcy. Ze względów narodowych należało poprzeć kandydaturę Łuszczkiewicza, chciaż większość zradykalizowanych wyborców stała po stronie socjalisty. Ja sam w Harbutowicach miałem twardy orzech do zgryzienia, zanim zdołałem nakłonić większość wyborców do głosowania za Łuszczkiewiczem, mniejszość nie wiedziała jeszcze co to jest karność partyjna i oddała głosy socjaliście. Najbardziej bolało to naszego proboszcza, który duchem stał po naszej stronie i nawet przyznawał nam słuszność, ale nie mógł się pogodzić z tym, żeby rolnik głosował na socjalistę, których interesy są sprzeczne.

W ściślejszym głosowaniu wybrano Łuszczkiewicza, ale w Harbutowicach większość głosów na socjalistę padła, bo agitator ich nie zasypiał sprawy i zdołał w Zachełmnej, Baczynie i Palczy większość wyborców pozyskać dla swego kandydata.

Podczas wyborów mogli agitatorzy sporo gotówki zarobić od kandydatów majętnych; my ludowcy pracowaliśmy dla idei, a od naszego kandydata ani wziąć nic nie mogliśmy, ni on sam dać nic nie mógł. Dopiero po wyborach zaprosił do siebie wybitniejszych działaczy ludowych i sprawił im skromne przyjęcie w swojej zagrodzie w Górnej Wsi.

W Harbutowicach, prócz mnie, pracowali jeszcze gospodarze: Michał Bogdał, Jan Golonka, Leopold Kania i Karol Tondyra. Na zgromadzenia jechaliśmy wozem, ci gospodarze bowiem nie żałowali ani czasu, ani koni, ani pieniędzy na sprawę ludową.

ORŁY, SOKOŁY 1910.

Rok 1910 to pięćsetna rocznica pogromu krzyżaków pod Grunwaldem. Ponieważ prusactwo sprzysięgło się na naród polski i za wszelką cenę chciało go wytępić. Po Wrześni przyszła ustawa o wywłaszczeniu, więc wielki Polak i patriota Ignacy Paderewski własnym kosztem zbudował w Krakowie pomnik grunwaldzki, aby przypominał Polakom chwilę, kiedy pokonane krzyżactwo leżało u stóp naszych. Każda szkoła, każda wioska uroczystość Grunwaldu obchodziła. I my w Harbutowicach obchód taki urządziliśmy. Pierwszy raz też w kościele harbutowskim zabrzmiała pieśń: „Boże coś Polskę", odśpiewana przez dziatwę szkolną i młodzież, bo starsi tej pieśni nie umieli. Koroną wszystkich obchodów był obchód grunwaldzki w Krakowie, połączony z odsłonięciem pomnika, trwający kilka dni. Główna uroczystość przypadła w dniach 13, 14 i 15 lipca.

W pierwszym dniu uroczystości odbyło się odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego, postawionego na placu Matejki. W obecności Paderewskiego, twórcy pomnika, artysty rzeźbiarza Wiwulskiego, deputacyj z całej Polski i tłumów publiczności odsłonięto olbrzymi pomnik Władysława Jagiełły na koniu, poniżej którego posąg Witolda, spoglądającego na leżącego u stóp olbrzymiego krzyżaka. Po bokach alegoryczne figury i napisy: „Praojcom na chwałę", „Potomnym na otuchę".

Wśród gości widzieliśmy przedstawicieli całej Słowiańczyzny, a także Węgrów, tylko Rusinów brakowało. Po raz pierwszy usłyszałem wówczas wspaniałą melodię „Roty" Konopnickiej, skomponowaną przez Feliksa Nowowiejskiego.

Nie mogąc dostać się bliżej pomnika, nie słyszałem wszystkich mów, dopiero docisnąłem się bliżej, gdy imieniem kadetów rosyjskich przemawiał poseł do Dumy Pogodin i poseł do parlamentu węgierskiego, którego nazwiska nie zdołałem zapamiętać, chociaż postać jego ubrana w narodowy strój węgierski dotąd tkwi w mej pamięci.

Drugi dzień był poświęcony głównie popisom sokolim. Ja zaś udałem się na wiec oświatowy, urządzony przez akademicką młodzież ludową z T. S. L. w teatrze ludowym przy ulicy Rajskiej.

Cała olbrzymia sala teatralna napełniła się już przed wyznaczoną godziną uczestnikami, wśród których można było zauważyć liczne rzesze nauczycielstwa, włościaństwa, młodzieży akademickiej, robotniczej i nieco inteligencji miejskiej.

Wiecowi przewodniczył Franciszek Stefczyk i Jakub Bojko, sekretarzowali nauczyciele Feliks Koczur i Henryk Kanarek.

Po wygłoszonych referatach rozwinęła się dyskusja, w której głos zabierali przedstawiciele wszystkich stanów i zawodów, działaczy oświatowych i politycznych. Pięknie przemawiał Włodzim. Tetmajer, adwokat Moskwa, ale pod względem języka, stylu i sztuki krasomówczej pierwsze miejsce zajął redaktor Jan Dąbski, a pod względem siły argumentów, logiki i treści poseł sejmowy Wincenty Witos z Wierzchosławic. Dąbski w swojej mowie zwrócił uwagę na kształcenie charakterów, bo jak powiadał: narodowi charakterów dziś trzeba. Witos wskazywał na naszych możnowładców, którzy zamiast nieść przed narodem oświaty kaganiec, nieśli kopcącą łojówkę, żeby się zdawało, że się coś robi, a spoglądali trwożliwie w stronę Petersburga, Berlina i Wiednia i przed zaborcami pokornie zginali kolana.

Przy uchwalaniu rezolucyj powstał zatarg między przewodniczącym Stefczykiem, a nauczycielstwem, skutkiem czego Stefczyk z przewodnictwa zrezygnował. Wszystkie jednak wnioski i rezolucje uchwalono, a więc zastępca przewodniczącego Jakub Bojko zamknął zebranie.

Trzeba było drugą noc przepędzić w Krakowie i przenocować się gdzieś pod gołym niebem. Miałem tu wprawdzie kilku kolegów, ale nie znałem ich dokładnych adresów, mogłem pójść do Osuchowskich, ale nie chciałem im się narzucać. Myślę sobie: wieczorem będą puszczać wianki na Wiśle, pójdę tam i mile czas spędzę do północy, a potem siędę gdzieś na ławce zdrzemnę się i to mi wystarczy. Tak się też stało.

Na wiankach wdałem się pogawędkę z pewnym lwowianinem, który wyraził żal, że Lwów nie ma większej rzeki, i że we Lwowie wianków urządzać nie można. Końcowym punktem programu wianków było oświetlenie Wawelu, który przedstawiał czarujący widok.

Gdy już tłumy zaczęły się rozchodzić, poszedłem i ja gdzieś głowę skłonić. Na plantach w kąciku koło Grażyny usadowiłem się na ławce i zacząłem drzemać. Na szczęście nikt na mnie nie zwracał uwagi i nawet policjant mnie nie zaczepił, bo więcej takich gości było, którzy na plantach noclegu szukali. Wkrótce rozwidniło się, poszedłem więc nad Wisłę umyłem się zimnej wodzie i senność znikła. Urządziłem sobie przechadzkę na górę św. Bronisławy, skąd roztacza się cudownie piękny widok Krakowa i okolicy. Siadłem sobie na ławce dumał. — Z wieży Mariackiej dochodziły tony hejnału, a potem pieśni nabożnych odegranych na 2 trąbki. Najpiękniejsza to muzyka, z którą tylko dźwięk dzwonu Zygmunta w porównanie iść może.

Na błoniach formował się pochód, który miał przejść ulicami: Wolską, Straszewskiego, Podwalem, Basztową, Floriańską, Rynkiem i Grodzką na Wawel, gdzie na grobie pogromcy krzyżaków delegacje miały składać wieńce. Olbrzymie błonia zaczęły się zaludniać. Z miasta fiakrami, autami i pieszo dążyli na wyznaczone miejsca zborne: sokoli, strażacy, kolejarze, górale, Krakowiacy, rozmaici dygnitarze, a wszystko w narodowych strojach, kontuszach, czamarach, sukmanach i cuhach. Osobno gromadziła się banderia Krakusów w sile 2 tysięcy koni. Nawet zamożniejsze panie i panny przybrały się na on dzień w błękitne lub amarantowe kontusiki i konfederatki, mniej zamożne w stroje ludowe krakowskie, a tylko proletariat w zwykłe miejskie ubrania.

Gdy zobaczyłem nadjeżdżającego prezydenta miasta Krakowa, ubranego w strój polski, zabrałem się ku miastu, aby zabezpieczyć sobie dogodne miejsce, z którego mógłbym cały pochód widzieć.

Niepodobieństwem było wyliczać wszystkich grup pochodu, które zebrana publiczność mniej lub więcej gorąco oklaskiwała. Najliczniejszą bo około 12 tysięcy liczącą grupę stanowili sokoli, maszerujący oddziałami. Każdy komendant oddziału, przechodząc koło balkonu, na którym stał Paderewski, komenderował „Baczność! Na prawo patrz"! Oblicza zwracały się w stronę balkonu, sztandary pochylały się, oddając w ten sposób hołd wielkiemu obywatelowi i zasłudze.

Najgoręcej oklaskiwano sokołów wielkopolskich i górnośląskich jako pochodzących z ziem najwięcej na prześladowanie potomków krzyżackich narażonych, a umiejących tak dzielnie się bronić.

Oklaskiwano także gorąco czeską grupę sokolą, pozdrawiając ją czeskim: „Na zdar". Krew w żyłach mroził widok olbrzymiego wieńca cierniowego, spowitego w kajdany, niesionego przez Polki z Warszawy. Ręce składały się do oklasków, lecz wkrótce znieruchomiały, a głos zamierał w piersiach.

Poseł Średniawski pokazał mi znanych sobie posłów czeskich, słoweńskich i chorwackich, witał ich okrzykami: „Na zdar", „Żywio," a ja mu w tych okrzykach wtórowałem z radości, że w walce z naporem germańskich nie jesteśmy odosobnieni.

Osobną grupę stanowiło Koło Polskie, w którym zgodnie obok siebie maszerowali posłowie różnych obozów politycznych z wyjątkiem posłów socjalistycznych, którzy maszerowali w grupie robotniczej z Daszyńskim na czele.

Nawet ważniejsze ugrupowania trudno wyliczyć, dość wspomnieć, że wszystkie ziemie dawnej Rzeczpospolitej w pochodzie były reprezentowane. Pochód trwał przez całe 5 godzin, a ostatnie szeregi przemaszerowały już o godzinie trzeciej po południu.

Franciszek Kuś

FAKTY I ZDANIA

Skarbiec kultury

Wśród błędnych schematów pojęciowych jest nadal aktualne ujęcie kultury dzielącej się na kulturę materialną i duchową. Strona materialna jest konieczna, bo jest, duchowa jest akcydentalna i składa się z elementów pełniących funkcję przede wszystkim zabawowe: teatr, kino, literatura, muzyka, taniec. Oto jest kultura: aktorzy grają w teatrze, muzycy na drzewie, kiszkach bydlęcych, rurach metalowych i t. d., literaci zajmują się literaturą, literaci piszą książki. Jedne z tych książek są ładne, inne brzydkie, jedne na poziomie, inne poniżej. Te dobre wzbogacają naszą kulturę, składają się na jej skarbiec. Autorzy tych książek stają się sławni, ich dzieła i pamięć o nich są trwalsze w skarbcu kultury, niż pamięć złych książek. Zainteresowało nas to zjawisko umysłowe, gdyż mamy okazję obserwować je w każdym numerze „Miesięcznika Ludowego" w artykułach Edwarda Marca. Zastanawialiśmy się, co ono oznacza. Co to znaczy, że pisarze powinni pisać z myślą o stworzeniu wielkiego dzieła, a nie ze względu na przyjemność, lub pożytek? Co znaczy podział literatury na lichą, przeciętną i znakomitą i podział pisarzy na lichych, przeciętnych, znakomitych? Co znaczy, że literaci powinni pilnować przede wszystkim literatury i spraw z literaturą związanych? To znaczy, według nas, że się nie ma żadnej ideologii kulturalnej, że się nie ma nic oprócz mętnego przekonania, że kulturę należy upowszechniać.

„Kultura duchowa" jak ją pojmuje Marzec, to jakaś wielka zabawa i uczta. Z zawiścią pisze on, że „ludność miejska żyje kulturalnie, oświeca się i rozkoszuje" podczas gdy chłop, jak dostanie gazetę do ręki zasypia nad nią po całodziennej orce lub młocce. Kulturę się „kosztuje". Ta terminologia jest znacząca. Długo jeszcze Marzec będzie narzekał na stan kulturalny wsi, na brak urządzeń kultury na wsi, tak długo, dopóki on sam i podobnie myślący nie zrozumieją: 1) że nie ma żadnego skarbca kultury, że nie ma kultury wogóle poza ustrojem polityczno-społecznym, 2) że same urządzenia kulturalne bez ogólnej społecznej koncepcji kultury wbudowanej w ustrój — są bezużytecznym balastem. Edward Marzec dziwi się i ubolewa („Woda w ustach i gadulstwo" — Dziennik Ludowy), że na zjeździe Oddziału Wiejskiego mówiono za wiele na tematy pozaliterackie, kiedy literaci powinni pilnować tylko literatury. Z czego się rodzi literatura? Czy ze słów? Czy z wnętrza duszy? Według nas na zjeździe Oddziału Wiejskiego za mało mówiono o sprawach pozaliterackich, o sytuacji i zadaniach inteligencji chłopskiej, o roli politycznej pisarstwa, o tych rzeczach, które określają miejsce pisarzy chłopskich we współczesnej rzeczywistości społecznej.

A już decyzję, kto z nich wejdzie, a kto nie, do skarbca literatury polskiej pozostawmy dobremu duchowi Kazimierza Promyka, któremu koncepcja skarbca w jego działalności oświatowo-filantropijnej także nie była obca. Było to blizko 80 lat temu.

Anna Kamieńska.

Wiadome dopiero źródło „Nurtu"

Od miesiąca już zapowiadano ukazanie się „Nurtu", miesięcznika najmłodszego pokolenia literackiego. Wyszedł wreszcie pierwszy numer. Wystarczy spojrzeć na nazwiska młodych pisarzy, by przekonać się, że pismo jest kontynuacją nie wychodzącego już „Pokolenia". Zmienił się akcent polityczny, zmieniły się wypowiedzi ideologiczne, ale środki literackie pozostały jednak te same. Rozbitki z grup literackich okupowanej Warszawy, z „SiNu", „Dźwigarów" i z „Drogi" kontynuują swój program artystyczny. Uczniowie awangardy i poetyki francuskich post-nadrealistów przejawiają swoje tradycje we wszystkich wierszach tu umieszczonych. „Odwiedziny" Różewicza wręcz można by umieścić w zbiorku Préverta. Najciekawszą pozycją numeru, nie jest jak się spodziewano, wspomnienie Borowskiego, pełne nieoczekiwanej żeromszczyzny, lecz „Pocałunek w Hiszpanii" R. Bratnego. Fragment dramatu wskazuje na interesujące założenie utworu. Jest to sztuka z tezą, sztuka usiłująca udowodnić nonsensowność anty-marksistowskiego stanowiska w działaniu i wykazująca nieświadomą akceptację podstawowych tez materializmu przez ludzi pozornie najbardziej mu wrogich. Niewątpliwą pozostałością dawnej linii dramatycznej jest wprowadzenie na scenę komentarza do utworu w postaci intermedium. Jest to znany chwyt z eksperymentalnego dramatu we Francji (występuje bardzo często u Giraudoux). Najcenniejszą jednak częścią numeru są przekłady, nie ze względu na wartość tłumacza (przekłady Aragona Ewy Fiszer są niedobre), lecz ze względu na walory rzeczy tłumaczonych. Mamy tu świetne opowiadanie Steibecka, programowy urywek Sartre'a i cykl wierszy Louis Aragona. Jest to próba pokazania polskiemu czytelnikowi wysiłków literatury zachodniej, tak różnej od głównych rysów polskiej twórczości. O wiele mniej poważnie wyszedł dział krytyki. Ten cenzurkowy sposób oceny narzuca nam artykuł Marczaka-Oborskiego. Pełno w nim pojęć niesprawdzalnych, ocen nic nie znaczących. One to dyskwalifikują wartość całej wypowiedzi. Z pewną przyjemnością odczytujemy potem artykuł W. Macha, na którego tezy na temat zadań krytyki nie zgadzamy się. Można się jednak nad nimi zastanowić.

Lech Budrecki

„Po prostu"

Pisma, które nie reprezentują wyraźnej grupy ideologicznej i których koncepcja kultury odbiega od tradycji kulturalnej swojego środowiska, nie liczą się prawie na rynku kultury i ważność mogą osiągnąć najwyżej po latach — historyczną. Odnosi się to zresztą do wszelkich produktów myśli — przykład — prace kameralisty z epoki stanisławowskiej Naxa, którego teoria uzdrowienia polskiego przemysłu, postępowa wobec panującego fizjokratyzmu nie znalazła uznania wśród społeczeństwa. Po prostu Nax był prawie sam, nie miał swojej szkoły, swoich wyznawców, **nie było ruchu.** Jeśli można mówić o pewnych związkach łączących samo pismo z określoną liczbą współpracowników i zwolenników, którym odpowiada ogólny kierunek ideologiczny redakcji to przecież pismo nie służy samej grupie, ono wychodzi poza nią, oddziaływuje na inne środowiska.

Wznowienie przedwojennego „Po prostu" poprzedziło szerokie ożywienie akademickich ognisk „Życia" rozsianych po wyższych uczelniach w Polsce. Praca dyskusyjna w seminariach marksistowskich, współpraca młodych intelektualistów marksistowskich z „Kuźnicą" przygotowały grunt i przekonały o możliwości stworzenia własnego pisma. Więcej, przekonały o potrzebie wydawania takiego pisma.

„Jest rzeczą socjologicznie stwierdzoną, że często rewolucja ideologiczna nie nadąża za treścią przemian gospodarczo-społecznych". („Po prostu" nr 2, A. Słucki). Przyśpieszać będzie tę rewolucję „Po prostu" przede wszystkim na terenie akademickim. Wynikają z tego dwie funkcje pisma. Jedna: w oddziaływaniu na inne środowiska akademickie („Wici", Z. N. M. S.) i poza akademickie (gimnazja, licea) i druga funkcja: stworzenia wyższego studium ideologicznego dla dołów organizacyjnych „Walki Młodych". Nasuwa się porównanie z „Wiciami" i „Młodą Myślą Ludową". W obu wypadkach jest ambicja odskoku o piętro wyżej. W wypadku pism marksistowskich zachodzi różnica poziomów a występuje służba dla jednego systemu. Pisma młodzieżowe chłopskie nie odnalazły jeszcze swojej linii politycznej, nie spełniają nawet tej funkcji, jaką spełniały przed wojną.

Problemem podstawowym „Po prostu" jest określenie zadań młodej inteligencji polskiej, jej stosunku do współczesności: „Młoda inteligencja polska, która wyzbyła się niejednego kompleksu, która mimo perypetii psychicznych doszła do afirmacji wielkich reform gospodarczych, włączy się także do nowego nurtu życia duchowego i zajmie czołowe miejsce w dziele odrodzenia kultury polskiej. Im głębiej rewolucja polska zapuszcza korzenie, tym bardziej paradoksalna staje się pozycja człowieka, który aprobując reformę rolną i unarodowienie przemysłu nie rozumie konieczności przemian w treści i formach kultury. Problem ten jest przedmiotem dyskusji wśród młodej inteligencji, jest przedmiotem sporów studenckich. Nie rzadko szafuje się frazesem „życzliwości powszechnej" i puszcza się w ruch wszelkie możliwe imponderabilia dla podważania poczynań rządu ludowego w dziedzinie oświaty ludowej na wszystkich szczeblach.

Potrafimy odróżnić frazesy humanistyczne od rzeczywistych, krytycznych idei humanistycznych, jakie żyją w młodzieży".

Tadeusz Papier

KOMUNIKAT

Tymczasowy Zarząd Główny Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych R.P., powstały w wyniku połączenia się szeregu organizacyj i instytucyj oświatowo-kulturalnych, działających na wsi, zawiadamia wszystkie terenowe ogniwa organizacyjne tych organizacyj i instytucyj, iż do czasu zatwierdzenia statutu działalność tych ogniw powinna być prowadzona nieprzerwanie.

Do tego czasu nie mogą być podejmowane żadne poczynania zmieniające dotychczasowy stan organizacyjny na terenie zainteresowanych instytucyj i organizacyj, a wszelkie projekty w tym zakresie powinny być przekładane do rozpatrzenia Tymczasowemu Zarządowi Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych R. P., pod adresem: Warszawa — Smulikowskiego 6/8, TUL-R.P.

Za Tymczasowy Zarząd TUL-R.P.

Sekretarz: (Wacław Schayer) Prezes: (Wilhelm Garncarczyk)

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.** Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji. Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom Chłopskiej.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—017846